**W numerze:** JAN BABIŃSKI **Olbrzym bez skrzydeł** ● TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI **Parnas recytatorów** ● **Wiersze poetów łódzkich** ● **PWN w Łodzi w obliczu nowych zadań** ● **Felietony** ● **Recenzje** ● **Nowela**

# odgłosu

17. V. 1970 r.
20 (652)
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

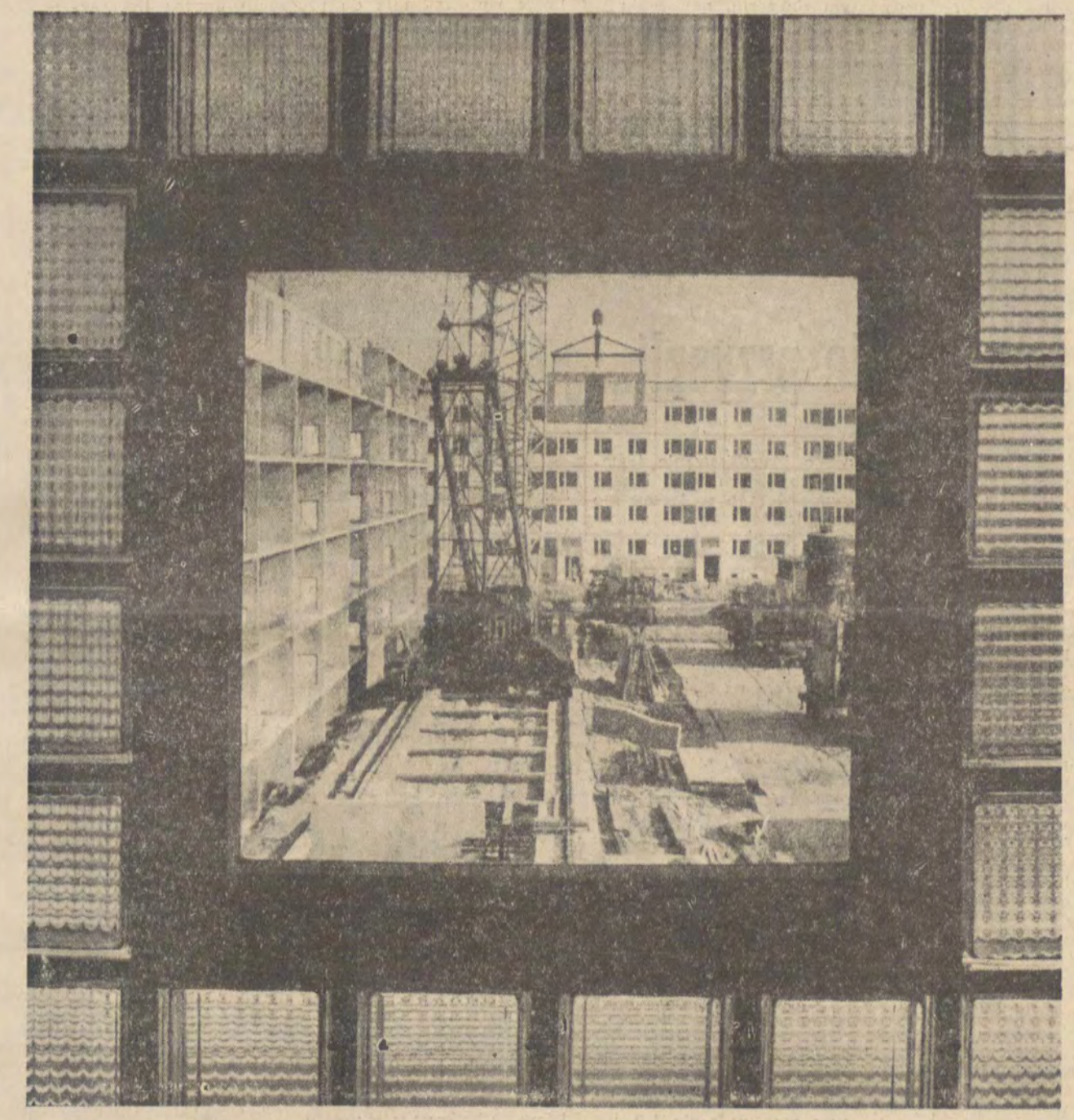

ROMAN ŁOBODA
MAREK WAWRZKIEWICZ

## Piąty, ogólnopolski...

**Tylko kilka dni dzieli nas od rozpoczęcia tradycyjnego już święta poezji — V Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi.**

Tak, nie ulega wątpliwości, że Festiwal stał się tradycją w kulturze łódzkiej i budzi coraz żywsze zainteresowanie poetów, krytyków i naukowców, a także — może przede wszystkim — łódzkiej publiczności, wśród której z roku na rok rośnie rzesza prawdziwych, wiernych poezji miłośników.

Wywodzą się oni nie tylko z grup zawodów inteligenckich studentów, czy uczniów — jest wśród nich spora liczba robotników, z załóg łódzkich zakładów pracy, którzy z poezją zetknęli się dopiero przy okazji festiwali, goszcząc u siebie poetów z całego kraju.

Cieszy wzrastający poziom konkursów festiwalowych, cieszy żarliwość obrad i mimo wysokiej atmosfery rzeczowość dyskusji, ale najwięcej radości płynie właśnie z tego faktu poszerzającego się o robotnika łódzkiego kręgu odbiorców poezji.

Właśnie ten aspekt wydaje się niezwykle żywy i aktualny, toteż organizatorzy postanowili uczynić go dominantą i tematem przewodnim V Festiwalu.

Sprawy odbioru współczesnej poezji, jej społecznych funkcji i znaczeń staną się tematem głównych referatów i dyskusji. Jest to jednocześnie — jak sądzimy — propozycja dialogu między twórcami i czytelnikami, dialogu, który zapewne nawiąże się między twórcami i czytelnikami, zwłaszcza podczas rozlicznych spotkań poetów z łódzką publicznością.

O wzrastającej popularności Festiwalu świadczy również wzrastająca stale liczba nadsyłanych prac na konkursy poetyckie. Charakter tych prac i podejmowane w nich problemy wykazują większe związanie poetów z życiem oraz szersze i głębsze jego rozumienie. Szczere i obywatelskie zatroskanie sprawami dnia codziennego, sprawami człowieka i jego losem, ujawnia potrzebę realizowania ideałów powszedniości, nurtującą piszących i czytających.

Te tendencje, tak bliskie tradycjom kulturowym Łodzi, można uznać za myśl przewodnią obrad fe-

**Dalszy ciąg na str. 2**

## Czy poeci są potrzebni?

*Z Julianem Przybosiem rozmawia Konrad Frejdlich*

*KONRAD FREJDLICH: Pisze się u nas często, z entuzjazmem albo z drwiną, że jesteśmy krajem stu tysięcy poetów. Sądząc po wydłużeniu się czasu oczekiwania na druk w czasopismach czy wydawnictwach — liczba ta nie jest zbyt przesadzona. Mamy dużo ludzi piszących wiersze i coraz niższe nakłady książek poetyckich. Niemal regułą staje się 500 egzemplarzy. Śmiem wątpić, czy w tej sytuacji głos poetów w ogóle dociera do społeczeństwa. Powstaje więc pytanie, jaka jest sytuacja ideowa i artystyczna współczesnej poezji polskiej? Czy przypadkiem nie przemawiamy tylko do siebie, do stosunkowo wąskiego kręgu profesjonalistów?*

JULIAN PRZYBOŚ: Rozumiem pański niepokój, a wiek daje mi może prawo, a w każdym razie sposobność do porównań. Myślę, że poeci w Polsce Ludowej, znajdują się w znacznie lepszej sytuacji niż przed wojną. Nawet debiutant za swoje 500 egzemplarzy otrzymuje honorarium, ma otwartą drogę do czasopism, może uzyskać stypendium. Przed wojną poeci, z wyjątkiem szczególnych pieszczochów losu, nie żyli z pisania wierszy. Co najwyżej z dziennikarstwa, piosenek, kabaretów.

Wielkim więc osiągnięciem socjalizmu w dziedzinie kultury jest to, że przed każdym stoi otworem pierwszy stopień na Parnas. Wam, młodym, wydaje się to naturalne. My, starsi, dostaliśmy przed wojną inną, twardszą szkołę życia. Wszystkie książki, które wydałem przed wojną, z wyjątkiem „Równania serca" sam musiałem opłacić.

A starałem się być niezależnym od prywatnych wydawców i redakcji, wolnym od wyrobnictwa dziennikarskiego. Miałem swój zawód, byłem nauczycielem, to dawało mi wolność poezjowania. Starałem się być poetą „czystym". — nigdy nie napisać utworu wymuszonego przez okoliczności, schlebiającego modzie i koniunkturze. Bo wartościowe mogą być tylko utwory, wynikające z całej osobowości poety. Wiersz musi wynikać z całego naszego życia, musi się przez nas przebić jak kwiat przez ziemię. A przecież nie wszystkie swoje wiersze napisałem w stanie takiej — powiedzmy — łaski poetyckiej czystości. Narobiłem też sporo utworów polemicznych, ideowo agresywnych, nawet o charakterze pamfletu, czy też wierszy programowych, stawiających drogowskazy poetyckie.

*KONRAD FREJDLICH: My, myślę o poetach mego pokolenia, czytaliśmy bardzo uważnie te utwory. Niekiedy wzbudzały sprzeciw, ale wiedzieliśmy, że dyktował je pański nonkonformizm. Myśmy je na ogół akceptowali. Ale sytuacja w poezji zmienia się szybko, są już młodsi od nas. Jest tyle ułatwień. Z uwagą obserwuję różne korespondencyjne kluby poetów, ale sądzę, że instytucjonalizacja, a czasem zwykły tupet, raczej nie służą sprawie poezji w naszym kraju.*

JULIAN PRZYBOŚ: Tak, nie jest dobrze, jeśli młody człowiek, wydawszy pierwszy zbiorek wierszy, uważa się za literata. Literat, w moim najbardziej prywatnym pojęciu, jest antytezą poety. Literat to człowiek zarobkujący piórem. Dla poety znacznie korzystniej jest, kiedy rzetelnie opanuje przynajmniej jedną dziedzinę wiedzy ludzkiej i przy jej pomocy zdobywa środki utrzymania. Uzawodowienie (profesjonalizacja), zwłaszcza przedwczesne uzawodowienie poety, prowadzi ku klęsce.

Rzeczywiście drukuje się u nas wiele rzeczy złych i słabiutkich. Za ten stan trzeba mieć pretensje nawet nie do tych, co te niewypały kwalifikują do druku, ale do krytyków i recenzentów. Recenzje, niekiedy również w poważnych miesięcznikach, są tak bełkotliwie pseudouczone, że podejrzewam, iż piszący je, zapewne początkujący studenci polonistyki, nie rozumiejąc wierszy lub też bojąc się cokolwiek powiedzieć, udają mędrców aby ukryć swoją niewiedzę i wkładają w swoje oceny możliwie najwięcej cytatów z książek, które przeczytali. Krytyk rzetelny, twórczy, ukryje to, co wie z przeczytanych lektur, bo wstyd i skromność nie pozwolą na pretensjo-

**Dalszy ciąg na str. 3**

# ŁE ŚWIATA

**I znów, jak to często bywa, kartki politycznego kalendarza zapełniły się ważnymi wydarzeniami. Obchody 25-lecia zwycięstwa nad hitleryzmem, w Polsce mające swój centralny punkt we Wrocławiu, uroczystości ćwierćwiecza wyzwolenia Czechosłowacji i podpisanie w Pradze nowego radziecko-czechosłowackiego układu o przyjaźni, współpracy i pomocy wzajemnej, rozmowy min. S. Jędrychowskiego we Francji, a także dalszy niebezpieczny rozwój wydarzeń w Indochinach, a zwłaszcza w Kambodży i w związku z tym konferencja prasowa premiera Kosygina — to najważniejsze z wydarzeń ostatnich dni.**

*W dzisiejszym komentarzu omówimy przede wszystkim WIZYTĘ MIN. JĘDRYCHOWSKIEGO NAD SEKWANĄ.*

*Można już stwierdzić, że pierwsze na tym szczeblu w czasie prezydentury Pompidou spotkanie polsko-francuskie przyniosło bogaty plon i wzbogaciło nasze wzajemne stosunki. Obserwatorzy polityczni podkreślają, że wizyta przebiegała w atmosferze szczególnie serdecznej i znalazła szerokie odbicie na łamach prasy francuskiej. Czemu to przypisać? Czy tylko tradycyjnej przyjaźni polsko-francuskiej?*

*Odpowiedź na te pytania zawarta jest w dwóch słowach: zbieżności poglądów.*

*Dotyczy to szczególnie sytuacji w Europie i trwałości granic. Francja już przed laty stwierdziła definitywny i nienaruszalny charakter polskiej granicy zachodniej.*

*Kierując się troską o pokojowy ład na naszym kontynencie — Francja z coraz większym zainteresowaniem odnosi się do propozycji zwołania europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy. Jej obawę, aby konferencja taka nie przekształciła się w dialog dwóch przeciwstawnych bloków politycznych i wojskowych, rozumiemy i doceniamy. Również Polska chciałaby nadać takiemu ogólnoeuropejskiemu spotkaniu charakter swobodnej dyskusji wszystkich jego uczestników.*

*Z zainteresowaniem i życzliwością odnosi się rząd francuski do wymiany poglądów między Polską i NRF, upatrując w tych rozmowach możliwości osłabienia napięcia i ważnego elementu przygotowawczego do konferencji europejskiej.*

*Również w ocenie sytuacji na Bliskim Wschodzie oraz w Azji południowo-wschodniej łatwo doszukać się zbieżności poglądów. W pierwszym przypadku Francja, podobnie jak Polska, wskazuje na rezolucję Rady Bezpieczeństwa jako drogę pokojowego rozwiązania kryzysu, w drugim — podziela niepokój z powodu nowego aktu interwencji, jakiego dopuściły się Stany Zjednoczone w Kambodży.*

*W toku paryskich rozmów min. Jędrychowskiego podjęto oczywiście zagadnienia rozwoju stosunków bilateralnych. Odnosi się to zwłaszcza do stosunków gospodarczych, których kierunek wyznaczać będzie zawarta niedawno umowa wieloletnia, słusznie przez niektórych polskich komentatorów określana jako przykładowa.*

*Rozmowy o europejskim odprężeniu oraz wzajemnych kontaktach będą z pewnością kontynuowane w czasie zapowiedzianej jeszcze na bieżący rok wizyty w Polsce premiera Chaban-Delmasa oraz min. Schumanna. Polsko-francuski dialog został więc wznowiony.*

*„Jest faktem — pisze „Le Figaro" — że trzy dni kontaktów i wymiany poglądów umożliwiły zharmonizowanie stanowisk obu krajów wobec różnych problemów". Tym stwierdzeniem można mierzyć pożyteczność wizyty min. Jędrychowskiego we Francji.*

*Drugi temat komentarza, to NASTĘPSTWA AMERYKAŃSKIEJ INTERWENCJI W KAMBODŻY dla polityki Nixona. Wbrew bowiem oczekiwaniom prezydenta USA, decyzja o militarnym wsparciu reżimu Lon Nola znacznie osłabiła jego pozycję w kraju i poza granicami.*

*Oto co pisze na ten temat czołowy komentator UPI:*

*„Prezydent Nixon wiedział, że jego operacja kambodżańska niesie z sobą ryzyko militarne, dyplomatyczne i polityczne, ale obecnie jest rzeczą jasną, że nie docenił on w ogromnym stopniu zasięgu i goryczy opozycji, którą akcja ta wywołała w kraju".*

*W Stanach Zjednoczonych na znak protestu przeciwko rozszerzaniu wojny indochińskiej doszło do poważnych demonstracji studenckich, masowego kolportowania ulotek oraz ostrych protestów nawet umiarkowanych członków Kongresu. Wewnętrzne napięcie wzrosło do takich rozmiarów, że Nixon i członkowie jego administracji raz po raz zabierają głos, starając się uspokoić wzburzone społeczeństwo. Temu celowi służy również zapowiedź wycofania z Kambodży większości oddziałów USA do połowy przyszłego miesiąca.*

*Negatywne dla Stanów Zjednoczonych skutki decyzji Nixona dają o sobie znać także poza granicami USA. Z konsultacji, jakie Włochy przeprowadziły z rządami państw NATO wynika, że poza Grecją i Portugalią każdy z rządów wyraził w jakiejś formie dezaprobatę dla tego kroku. Indochińska polityka Nixona znalazła się więc w izolacji. Nie jest to pomyślny prognostyk dla Stanów Zjednoczonych na kilkanaście dni przed kolejną sesją Rady Ministerialnej NATO.*

*W. SŁAWSKI*

# Piąty, ogólnopolski...

**Dalszy ciąg ze str. 1**

stiwalowych. W zbiorowym wydaniu plonu z czterech dotychczasowych festiwali, który ma się niebawem ukazać pt. „Rzecz poetycka — festiwale", myśl ta znajduje dobitne potwierdzenie i udokumentowanie. Książka jest w całości poświęcona referatom i głosom dyskusyjnym obrad festiwalowych i stanowi ono nie tylko „dokument" i próbę popularyzacji — jest również szeroką i wnikliwą analizą współczesnej poezji polskiej w ujęciu wielu wybitnych teoretyków i praktyków poezji.

Piąty festiwal zainauguruje II Łódzką Wiosnę Artystyczną, imprezę o szerokim i różnorakim programie. W zaprogramowanym na trzy dni Festiwalu znajdą się trojakiego rodzaju imprezy: referaty, dyskusja i obrady seminaryjne; konkursy i turniej poetycki; imprezy popularyzujące poezję — wieczory autorskie i koncert poezji współczesnej.

Pierwszy dzień V Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji — 18 maja — po uroczystym otwarciu, ogłoszeniu wyników konkursów (wpłynęło na nie ok. 1500 wierszy, 420 autorów z całej Polski) i recytacjach nagrodzonych wierszy — rozpocznie (roboczo) główny referat.

Prof. dr Jan Zygmunt Jakubowski mówić będzie na temat: „Poeci — krytycy — publiczność". Po całodniowej dyskusji uczestnicy Festiwalu (około 120 poetów, krytyków i naukowców) spotkają się z publicznością w Teatrze im. Jaracza na koncercie poezji współczesnej pt. „Wyznania".

Część seminaryjną Festiwalu dnia 19 i 20 maja otworzą referaty: Marian Piechal — „Społeczne adresy współczesnej poezji" i Krzysztof Gąsiorowski — „Sytuacja poezji".

W drugim dniu Festiwalu poeci wezmą udział w otwarciu wystawy „25 lat łódzkiej plastyki" i w licznych wieczorach autorskich, zorganizowanych w 22 placówkach kulturalnych Łodzi. Ten pracowity dzień zakończy impreza towarzysząca — koncert piosenek łódzkich twórców w Klubie Studentów w Łodzi.

W trzecim dniu odbędzie się m. in. Turniej Jednego Wiersza, w którym wezmą zapewne udział zarówno nasi goście, jak i liczna grupa młodych poetów łódzkich.

W skład jury wchodzą wybitni poeci, krytycy i naukowcy polscy: **Zbigniew Bieńkowski, Jan Błoński, Wojciech Boczkowski, Jan Maria Gisges, Jan Koprowski, Jerzy Kwiatkowski, Jan Zygmunt Jakubowski, Marian Piechal, Julian Przyboś, Julian Rogoziński, Stefania Skwarczyńska.** Wyżej podane jury rozstrzygnie prace nadesłane na konkursy poetyckie oraz nagrodzi najwybitniejszy tom poezji i najwybitniejszy tom esejów o poezji — wydane w okresie międzyfestiwalowym.

V Festiwal Poezji poza swoim ogólnopolskim znaczeniem i funkcją popularyzacyjną winien również spełniać rolę imprezy integrującej łódzkie środowiska twórcze; w związku z tym tegoroczny Festiwal prócz wprowadzenia do programu imprez towarzyszących, zaprosił do współpracy muzyków, aktorów, plastyków i dziennikarzy. Mamy nadzieję, że ta inicjatywa pisarzy łódzkich przyniesie przewidywane rezultaty artystyczne i społeczne.

**Roman Łoboda, Marek Wawrzkiewicz**

# Myśmy tu nie przyszli...

**WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI**

XIII Zjazd Pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych zakończył pewien bardzo istotny okres w naszym życiu literackim. Nie będzie już więcej tego rodzaju zjazdów. Nie będzie, gdyż w gruncie rzeczy przestała istnieć jakakolwiek potrzeba zaznaczania odrębności Ziem Zachodnich i Północnych, to są po prostu integralne części Rzeczypospolitej, zrośnięte z krajem po wszystkie czasy. O Ziemi Lubuskiej mówi się dzisiaj tak jak się mówi o Ziemi Krakowskiej, czy Kieleckiej.

Uczestniczyliśmy więc w Zjeździe ostatnim. Przyszłe spotkania pisarzy odbywać się już będą w rozmaitych miastach — Olsztynie, Kielcach, Łodzi czy Białymstoku, zależnie od rocznic, charakterystycznych dla całego kraju lub też jego poszczególnych ziem.

Ów zjazd ostatni, w którym uczestniczyła pokaźna, dziesięcioosobowa grupa pisarzy łódzkich, obfitował w momenty ważne dla uświadomienia sobie rangi społecznej pisarzy tych ziem, ich wielkiego już dorobku, obfitował również w momenty wzruszające. W Polsce zachodniej i północnej działa ponad 250-ciu pisarzy. Nie chodzi mi tutaj o imponujący rejestr książek, które napisali, pism, które redagują po dzień dzisiejszy, nie chodzi o klasyfikowanie tematów co do ich wagi i znaczenia, lecz o społeczny model pisarza tych ziem. W moim przekonaniu model o gromnie ciekawy, obcy kawiarniano-plotkarskim wzorom.

Witold Nawrocki powiedział w którymś miejscu swojego referatu:.

„Przed ludźmi tworzącymi kulturę na tych ziemiach i przed ludźmi kultury w całej Polsce jako nakazy najwyższych racji moralnych i patriotycznych stanęły zadania współuczestniczenia w pobudzaniu rytmu procesów adaptacyjnych i asymilacyjnych, w budowaniu nowych związków z ziemią i ludźmi, którzy ją objęli w posiadanie oraz współudziału w odbudowywaniu od zrębów kultury polskiej na tych ziemiach, gdzie wielowiekowa germanizacja niekiedy prawie całkowicie zniszczyła życie polskie lub zepchnęła je w latach hitleryzmu w podziemie. Chodziło więc o ocalenie i przypomnienie polskich tradycji terenów nadodrzańskich i nadbałtyckich oraz wprowadzenie ich ponownie w krwiobieg narodowej kultury, która z kolei sama przeżywała proces nie tylko duchowego, lecz wręcz materialnego i personalnego odnowienia, a także o uruchomienie i aktywizację podstawowych instytucji kulturalnych i upowszechnienie przy ich pomocy jednolitego modelu kultury polskiej w społeczeństwie tak niepraw dopodobnie zróżnicowanym".

W tym właśnie procesie tworzenia wspólnej dla całego kraju kultury socjalistycznej — nasi koledzy z Polski zachodniej i północnej odegrali chlubną rolę. Dziś powiadamy, że literatura jest niepodzielna, jedną tylko polską mamy literaturę, wielotematyczną, wielowątkową, lecz przecież jedną, nie dającą się przegradzać murkami powiatów czy województw. Nim to się jednak stało, ci pisarze, którzy pozostali na Zachodzie i Północy mimo hitlerowskiego terroru, lub na te ziemie przyszli — długą przeszli drogę. Widzieliśmy ich wtedy, gdy dosłownie z niczego powoływali do życia pierwsze instytucje życia kulturalnego — prasę, radio, przygotowywali pierwsze tomiki poetyckie i prozy, gdy piórem o strym i celnym latami dowodzili polskości tych ziem, ostro potykając się z różnego rodzaju rewizjonistami i rewanżystami. Ten szczególny model pracowitego pisarza, a zarazem działacza i organizatora, bardzo wzbogaca ogólny dorobek naszej kultury. Raz jeszcze, w 25 rocznicę powrotu tych ziem do Rzeczypospolitej, uświadomiliśmy sobie bogatą drogę naszych kolegów z Wrocławia, Zielonej Góry, Olsztyna i innych miast.

Uświadomiliśmy sobie tak że inną wartość. Odwiedziliśmy Międzyrzecz, urocze miasteczko otoczone sennymi wodami, dumne z zamku, który postawił Kazimierz Wielki i wspaniałego, dopraw dy, muzeum. W jednej z wielu sal można oglądać żarna, zwykłe chłopskie żarna, przywiezione z Podola. Właściciel nie przypuszczał pewnie, że tak szybko te żarna staną się już tylko zabytkiem, który ogląda się z pewnym wzruszeniem jak coś martwego z dawnych czasów. Milczące żarna w muzeum, których już nie dotyka ręka rolnika i szeregi traktorów na lubuskich polach — to także sens dynamicznych 25 lat od momentu powrotu. Pomiędzy bunkrami, które przed laty budowano tu dla Wehrmachtu, na zwałach niekomu niepotrzebnych ton żelastwa i betonu — przeczytaliśmy napis: „Myśmy tu nie przyszli, myśmy powrócili".

Jeden z przemawiających na Zjeździe pisarzy przypomniał wielką rolę czegoś w rodzaju misji, wspólnej legendy, która porywa ludzi do czynów, spaja ich wysiłki. Socjolog mówiłby zapewne o narodzie jako jednostce dziejowej i szukał dla tej jednostki odpowiednich wyznaczników. Główny to z pewnością — socjalizm, lecz przecież niemałą rolę odegrało wielkie hasło, podejmowane wcześniej przez Żeromskiego — powrót na Zachód nad Odrę. Wielka musiała być siła w tym powrocie, bośmy już żadnych śladów dawnych zniszczeń nie zobaczyli, a przejechaliśmy sporo kilometrów, wszędzie spokojna praca i wszędzie mnóstwo młodzieży, która tu znalazła swój kraj dziecinnych lat. 40 proc. całej młodzieży polskiej mieszka wzdłuż Odry i nad Bałtykiem.

Pisarz łużycki z NRD — Juris Brezan, powiedział słowa, które warto zapamiętać: „Im bardziej polska będzie ta ziemia, tym lepiej dla Polaków i dla Niemców". Jest polska, jak Mazowsze, Pomorze i Lubelszczyzna.

# Listy do Redakcji

**W SPRAWIE „SATYRA"**

Pozwalam sobie przesłać sprostowanie pewnej nieścisłości — która zakradła się do rubryki „Od niedzieli do niedzieli" w artykuliku pt. „Satyr" czyli nieznane pismo łódzkie. Otóż **„Satyr" wymieniony jest w „Bibliografii prasy łódzkiej" na stronie 8,** wśród tytułów figurujących w kartotece uzupełnień. Nie został umieszczony w alfabetycznym szeregu, gdyż informacja o „Satyrze" została znaleziona w momencie, gdy praca była już gotowa w maszynopisie (niemożliwe już było przenumerowanie całego materiału, także indeksy!), złożona w wydawnictwie. 600-stronicowy maszynopis został „skrócony" do 300 stron. Wiele materiału faktograficznego, objaśnień przypisów (także do „Satyra") leży spokojnie w szufladzie wraz z uzupełnieniami. „Bibliografia prasy łódzkiej" — przygotowywana w latach 50—60-tych zawiera podstawowy zrąb czasopiśmiennictwa łódzkiego, obejmuje około 80 proc. całej produkcji — w każdym razie wszystkie tytuły, które do roku 1962/3 znajdowały się w polskich zbiorach publicznych. Chodziło głównie o materiał użytkowy, był to pierwszy etap pracy nad prasą łódzką, pierwsze o niej obszerniejsze informacje. Historyk prasy znajdzie jeszcze niejeden tytuł w materiałach archiwalnych polskich i obcych (do tych ostatnich mimo starań nie dotarłam), czy zbiorach prywatnych. W mojej kartotece uzupełnień mam około 40 tytułów. Osobiście bardzo się cieszę z odnalezienia pierwszego numeru „Satyra" i przesyłam „pobożne życzenie", by szczęśliwie znaleziony numer znalazł się jak najszybciej w zbiorach publicznych, w najbardziej predestynowanej do tego Bibliotece im. Waryńskiego, choćby w fotokopii (w najgorszym wypadku).

Przy sposobności pragnę wyjaśnić że nie był to jedyny numer „Satyra", który się ukazał. W końcu lutego 1913 r. prasa łódzka informowała, że ze względu na zmianę drukarni i połączone z tym trudności „najbliższy numer pisma ukaże się dopiero w czwartek przyszłego tygodnia". Tak, że „Satyr" — tygodnik — ukazywał się prawdopodobnie jeszcze w lutym, a może i marcu, choć to już mniej pewne.

Dobrze się stało, że informacja o pierwszym numerze została ogłoszona.

**Dr WIESŁAWA KASZUBINA**

# Czy poeci są potrzebni?

Dalszy ciąg ze str. 1

nalne i właściwie błazeńskie manifestowanie uczoności.

*KONRAD FREJDLICH: Czy jednak nie warto byłoby wymagać także więcej od redaktorów? Przyznaję, że niezupełnie mnie Pan przekonał.*

JULIAN PRZYBOŚ: Oskarżałbym przede wszystkim recenzentów, wśród nich i tych, którzy piszą recenzje wewnętrzne dla wydawnictw. Brakuje nam, niestety, krytyki odpowiedzialnej za sąd o słowie poetyckim. Nawet w tak zwanych specjalistycznych miesięcznikach, poświęconych literaturze, ukazują się wypracowania na temat książek poetyckich, tak źle napisane po polsku, że nie można się zupełnie zorientować, czy oma wiane wiersze są coś warte, czy nie; czy kiełkuje w nich jakie źdźbło fantazji własnej autora, czy też są to popłuczyny przebrzmiałych dawno lub współcześnie mód — albo infantylne, pseudopoetyckie grymasy i minki. A mamy przecież bardzo wybitnych krytyków, którymi możemy się po wojnie szczycić, takich jak Sandauer, Wyka, Kwiatkowski, Sławiński, Błoński. Szkoda więc, że zbyt często czytamy recenzje studentów polonistyki, pozbawionych zmysłu krytycznego.

*KONRAD FREJDLICH: Te recenzje nie mają żadnego wpływu na kształt współczesnej poezji. W odniesieniu do debiutantów są wręcz szkodliwe, choć równie bezsilne. Pojawiają się nowe zastępy poetów i wszystko się powtarza.*

JULIAN PRZYBOŚ: Trzeba wśród początkujących szerzyć pogląd, że wydanie pierwszego tomiku nie jest wcale pasowaniem na twórcę poezji. To często ledwie próba, która nic nie mówi. W dawnych czasach być może wystarczyło pomodlić się do Apollina i on zsyłał natchnienie. W naszych czasach trzeba się napracować, dużo wiedzieć o świecie, ogarnąć umysłem całą poezję — nie tylko ojczystą — wniknąć w jej język i dopiero wtedy można doszukać się własnej poezji w sobie samym. A takiej pracy dokonuje się tylko wtedy, gdy młody człowiek zajmuje się nie tylko poezją, ale wtedy, gdy żyje pełnym życiem, a więc gdy jest czynny w życiu społecznym. Na samotność twórczą można sobie pozwolić już w okresie dojrzałości, kiedy zbytnie uczestnictwo w doraźnych akcjach o różnorakim charakterze — przeszkadza, bo zabiera czas, jaki ma się jeszcze do spełnienia swego powołania.

Dawniej filozofowie nie bez racji dzielili życie człowieka na aktywne lub kontemplacyjne. Myślę, że poeta powinien prowadzić to czynne życie, zanim odda się kontemplacji, jak najdłużej. Dopiero później, w wieku już przejrzałym, można się usunąć do samotni i zastanawiać nad losem rodzaju ludzkiego. To część odpowiedzi na pańskie wątpliwości.

A teraz, spokojnie, bez irytacji, pomówmy o nadmiernej ilości, o całych zastępach poetów. Cóż, nie sądzę, aby to było największe niebezpieczeństwo. Możność wypowiedzenia się jest niewątpliwie zdobyczą społeczną.

Nie zgubią nas chyba koszty wydawnictw poetyckich. Dobrze więc, że tomiki ukazują się, bo stanowią one materiał do przemyśleń nie tylko artystycznych, ale i społecznych czy politycznych. Powinniśmy być szczodrzy. Ale redaktorzy, którzy przyjmują krytyki i recenzje, powinni domagać się od piszących jawnego osądu. Nie można przecież bez końca lichoty owijać w bawełnę.

*KONRAD FREJDLICH: Krytycy są chyba także zdezorientowani. Próbujmy wniknąć w ich sytuację. Przecież swego czasu twórca o znacznym rozgłosie i autorytecie manifestacyjnie ogłosił śmierć poezji.*

JULIAN PRZYBOŚ: Kto głosi śmierć poezji, stwierdza tym samym, tak przewrotnie się usprawiedliwiając, że opuściła go łaska poezji. I stąd chyba wrzask, a może raczej humbug wokół tej sprawy. Proklamacje i manifesty na temat tego, że poezja się skończyła, są objawami humbugu. Bo przecież ci zabójcy poezji i innych poetów, samobójstwa poetyckiego jednak sami nie popełniają. Przeciwnie, dalej ogłaszają wiersze, nawet pozbawione poezji.

*KONRAD FREJDLICH: Jak więc mógłby Pan ocenić miejsce, w którym znajduje się współczesna poezja polska?*

JULIAN PRZYBOŚ: Czytałem w ciągu swego życia wiele artykułów-syntez, „podsumowujących", więc mówiących o stanie poezji w danym okresie czasu. Początkowo zdumiewałem się, ale potem przestałem się dziwić, gdy każda taka synteza kończyła się wnioskiem, że sztuka poetycka doszła do niezwykłego wyrafinowania, język stał się giętki, zdolny do wyrażenia nawet tego, co się komuś zwiduje w podświadomości.

Przypominam sobie sesję, zorganizowaną przed laty przez IBL na temat „Pół wieku poezji polskiej". Tam autorytety, niekiedy bardzo wysokie, zgodnie powtarzały, że okres dwudziestolecia międzywojennego był okresem świetności poezji polskiej, wysokim jej wzlotem. Ośmieliłem się wtedy powiedzieć, że to przesada, choć sam brałem udział w tym międzywojennym ruchu poetyckim. Wiem bowiem z doświadczenia, że w każdej epoce współcześni przeceniali swoich współczesnych artystów. Na sesji IBL zabierali głos profesorowie i krytycy, których młodość, a więc okres największej chłonności poezji, upłynęła w tym dwudziestoleciu. Okadzali, bo sami byli okadzeni, odurzeni wonią poezji tamtej epoki. Ale czy nie zauważył pan, jak ta poezja dwudziestolecia po upływie dwudziestu pięciu lat w ogromnej mierze zwietrzała?

*KONRAD FREJDLICH: To prawda, że przestało wzruszać wiele wierszy wtedy napisanych. Ale myślę, że jest Pan niesprawiedliwy. Bo jednak poezja awangardowa zachowała w dużej mierze swoją moc do dziś. I nic dziwnego, że dzisiejsi młodzi często powołują się na tamto doświadczenie.*

JULIAN PRZYBOŚ: Część tylko z tego ocalała, panie Konradzie, drobna cząstka, ale co powie o tym sesja IBL za dalsze ćwierć wieku?

*KONRAD FREJDLICH: Zastanawia mnie, co zostanie z poezji dzisiejszej, powiedzmy za dziesięć lat.*

JULIAN PRZYBOŚ: Dzisiejszej poezji brak bojowej ideowości. Jeśli kiedykolwiek atakowałem, zjeżdżałem, polemizowałem, zwalczałem, — to zawsze po to, aby obudzić taką prężność ideową, jaką czuliśmy tuż po pierwszej wojnie światowej. Brak dziś takiego ruchu ideowo-artystycznego. Poezja współczesna dotknięta jest przetrenowaniem. Poeci doszli do takiego operowania językiem i urzeczenia grą poetycką, że najczęściej mówią tylko o poezji i o niczym innym, tworząc poezję o poezji. To może zaprowadzić do wyszukanego manieryzmu i tu powód braku prężności ideowej.

Skoro rozporządzacie tak doskonałymi narzędziami, o koledzy, mistrzowie kalamburów, metonomii i antytez, to czas, abyście tym narzędziem kształtowali nie tylko język sam dla siebie, ale rzeczy tego kraju, przekonania, myślenie o kraju i świecie, żebyście uczyli podstawowych obowiązków wobec ojczyzny. Uczyli nie przez nawrót do gazetowo-agitacyjnych wierszy, ale przez taką czynną miłość języka, czyli poezję, która staje się miłością ideałów socjalistycznych. Taka poezja miałaby pewniejszą szansę przetrwania. Trzeba, żyjąc w tym kraju, rozruszać umysły i wolę jego mieszkańców, dla sprawy nowego człowieka w nowym społeczeństwie. Nie trzeba szukać wątpliwych archetypów i odgrzewać starych mitów. Socjalizm niesie w sobie takie treści, że bez nadprzyrodzonej pomocy „kolektywnej podświadomości" może dać natchnienie do najpiękniejszych wierszy.

*KONRAD FREJDLICH: A więc bliski jest Pan formule Norwida, który uważał, że zadaniem poety jest organizować wyobraźnię narodową?*

JULIAN PRZYBOŚ: Można tylko skłonić głowę przed formułą Norwida, jeśli się jej nie rozumie zbyt dosłownie, jak to czynią niektórzy cytatolodzy. Poeta organizuje tę wyobraźnię narodową nie bezpośrednio, ale za pośrednictwem języka. Czyli chodzi tu o specyficzny rodzaj wyobraźni, bardzo jednak ważny w życiu duchowym ludzi.

Przypominam sobie, że kiedy Witkacy został zaproszony na odczyt o monadologii, wstępując na stopnie katedry w sali im. Kopernika Uniwersytetu Jagiellońskiego, mruczał sobie pod nosem: „Aby królom być równym". Ja także czasem mam ochotę zacytować, aby usprawiedliwić profesorów-cytatologów, przypomnę więc powiedzenie filozofa chińskiego Lao-tse, który na pytanie, od czego zacząć naprawę państwa, odparł: Od języka.

*KONRAD FREJDLICH: Czy widzi Pan sposób, aby poezję współczesną bardziej związać z losami naszego kraju?*

JULIAN PRZYBOŚ: Żarliwość ideową wykazują ośrodki pozastołeczne, głównie Poznań i Wrocław. We Wrocławiu są aż dwa ugrupowania młodych z uporem wydające na powielaczu ciekawe publikacje. Gdybyż jeszcze ci młodzi związali swoje ciekawe doświadczenia ze sprawami, poruszającymi myśli ogółu, gdyby je zjednoczyli z troskami i marzeniami społeczeństwa! Mieliby wówczas szansę stworzenia prężnego ruchu poetyckiego. Myślę, że taki ruch odciągnąłby zdolnych nieraz, młodych poetów od bezpłodnego desperowania z powodu rzekomego absurdu istnienia.

Żałuję, że nie mogłem wziąć udziału w Festiwalu Poezji w Kłodzku i ze względu na stan mego zdrowia nie będę mógł przyjechać na festiwal do Łodzi. Może tam właśnie objawi się jakieś nowe zjawisko poetyckie, albo przynajmniej, jak to tradycyjnie bywa w Kłodzku, organizatorzy potrafią uczestnikom łódzkiego festiwalu uczynić pobyt owocującym nowymi myślami o roli poezji, poruszającym uczucia i wolę aż do następnego zjazdu.

*KONRAD FREJDLICH: Sądzi Pan, że o rozwoju poezji decydują nie tylko talenty z tak zwanej bożej łaski, ale także świadoma myśl teoretyczna i walka o określony ideał?*

JULIAN PRZYBOŚ: Tak jest, to moje głębokie przekonanie. Jeśli się nie ma określonej idei, ani nawet nie usiłuje się jej w ciągu dyskusji sformułować, utrwala się tylko stan bezwładu i zastoju w poezji. Bez walki o określony kształt poezji, bez rozruchu myśli ideowo-artystycznej nie narodzi się w Polsce, pomimo wielu przyjemnych festiwali, poezja współtworząca życie duchowe społeczeństwa socjalistycznego.

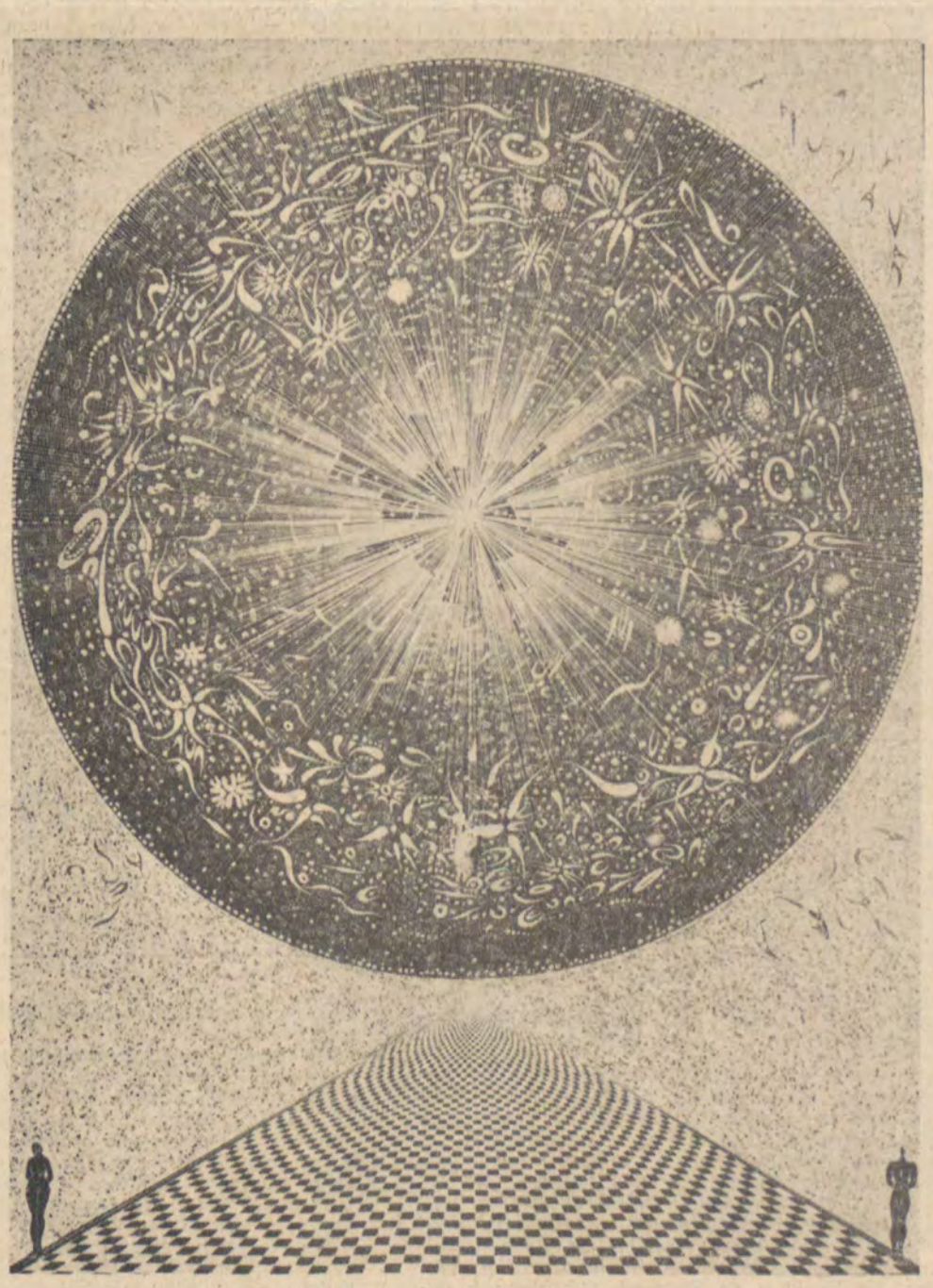

*Henryk Płóciennik — grafika*

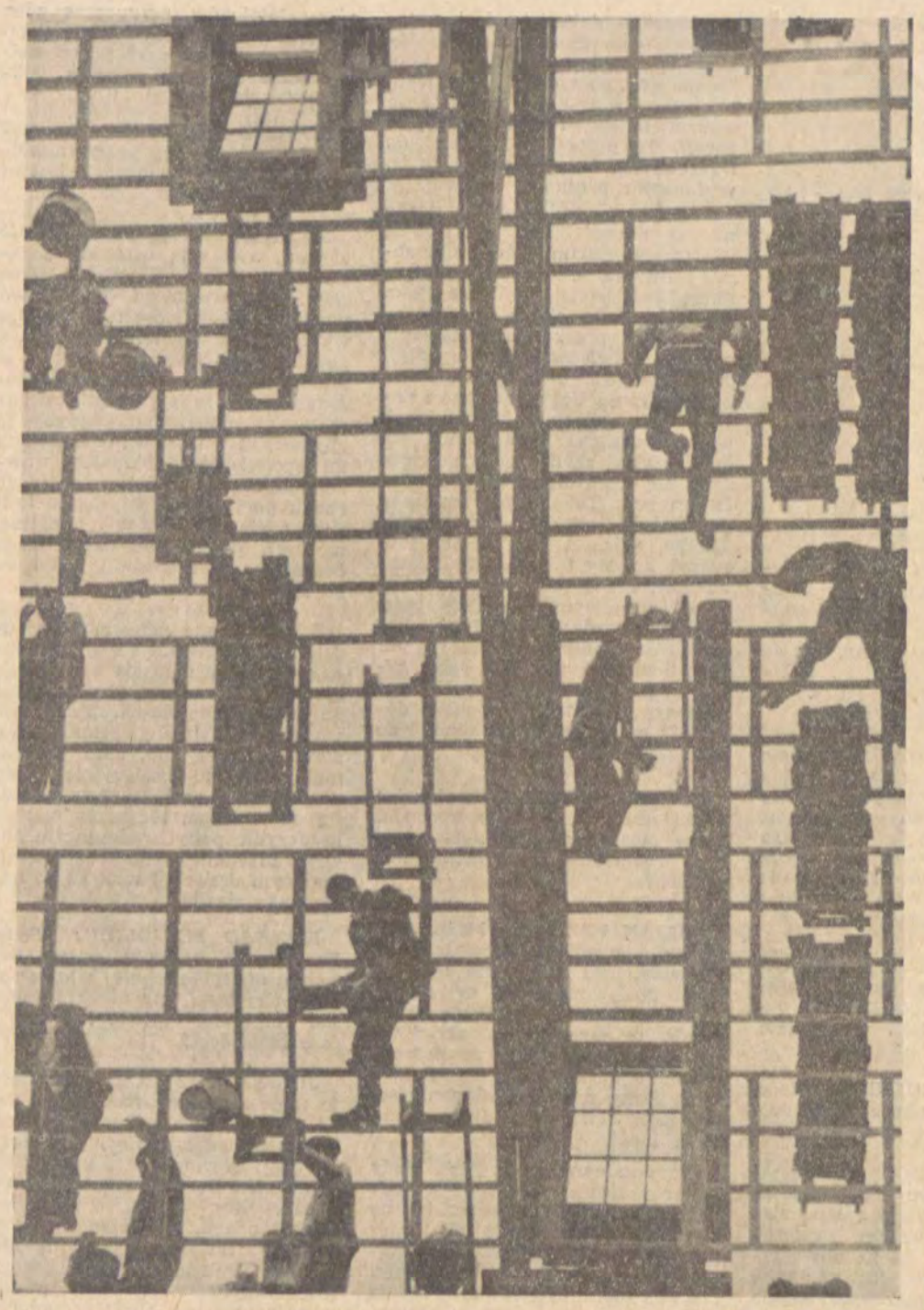

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

# Przyjaciel Polaków i Polski

**(W 100 rocznicę śmierci A. Hercena — 1870—1970.)**

**Setna rocznica urodzin Al. Hercena (1912 r.) stanowiła zachętę dla rosyjskich liberałów, by zwrócić uwagę ówczesnej „oświeconej" Rosji na tragiczną postać wielkiego myśliciela, literata, polityka i rewolucjonisty.**

Z perspektywy przemian prawie pięćdziesięciolecia, rewolucyjne hasła Hercena uległy znaczne mu stępieniu, a reformy, o które walczył w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, zostały już częściowo zrealizowane, choć w mocno okrojonych formach. Anektowanie działalności wielkiego myśliciela i polityka na rzecz rosyjskiego liberalizmu było rzeczą wygodną, popularną, potrzebną.

W historii rosyjskiego ruchu rewolucyjnego Hercen stanowi ogniwo łączące dekabrystów z rewolucjonistami — raznoczyńcami, aż po bohaterów „Narodnej Woli" włącznie. Właśnie jego propaganda rozszerzyła krąg bojowników, pchnęła ich do pracy wśród ludu. Występując przeciwko carskiemu uciskowi, Hercen stawał w obronie praw prześladowanych narodów. Nieświadomie stawał się szermierzem i prekursorem internacjonalizmu.

Z problematyką polską zetknął się Hercen wcześnie. Jako student z sympatią powitał wybuch powstania listopadowego. Jak notuje w pamiętniku: *„Cieszyła nas każda klęska Dybicza, nie wierzyliśmy w niepowodzenia Polaków. Do mego ikonostasu włączyłem niezwłocznie portret Tadeusza Kościuszki"* [1]).

W wiele lat później, będąc już na administracyjnym zesłaniu w Piermie, spotyka się Hercen z Polakami wysiedlonymi z Królestwa. Nawiązuje kontakty, pomaga im materialnie.

Bliżej ze sprawą polską i Polakami zetknął się jednak że Hercen znacznie później, już na emigracji. W 1852 roku przyjeżdża on do Londynu z zamiarem uruchomienia drukarni rosyjskiej i wydawania czasopism, które będą przemycane na teren carskiego imperium. Tu zbliża się do demokratycznych kół polskiej emigracji polistopadowej. Wśród nich szuka oparcia dla zrealizowania swego zamysłu. Charakterystyczne, że nie z polską prawicą, nie z obozem Czartoryskiego, ale właśnie z kołami polskiej ówczesnej lewicy nawiązuje Hercen kontakty, współpracę, przyjaźń. Szczególnie bliskie stosunki zaczęły łączyć Hercena z przywódcą „gminy" demokratycznej w Londynie — Stanisławem Worcellem. W oparciu o już istniejącą drukarnię polską organizuje Hercen drukarnię rosyjską i przystępuje do wydawania „Gwiazdy Polarnej", składanej przez polskich zecerów.

Od 1857 r. zaczyna ukazywać się „Kołokoł" („Dzwon"), który przemycany do Rosji osiąga poczytność rzadko spotykaną w dziejach prasy. Już pierwsze artykuły Hercena, zamieszczone w „Gwieździe Polarnej" akcentowały konieczność wspólnej, polsko-rosyjskiej walki z caratem; nawiązywały do hasła rzuconego przez Lelewela w czasie powstania listopadowego — „za naszą wolność i Waszą". Ukazanie się „Gwiazdy Polarnej" zostało jakże ciepło, serdecznie przyjęte przez polską emigrację demokratyczną, a skwitowane milczeniem przez obóz Czartoryskiego. Przebywający wówczas w Brukseli, sterany życiem, męczony chorobą Joachim Lelewel pisze list do Hercena zaczynający się od słów: *„Kochany Panie i Bracie..."*

Lelewel dostrzegł w działalności Hercena nawiązanie do swoich własnych usiłowań. Widział w jego osobie sprzymierzeńca i przyjaciela. Dlatego w zakończeniu listu pisał: *„W podeszłym wieku moim nie mając nadziei oglądania triumfu, pocieszam ziomków, którzy zbyt rozpaczają. Kochany Bracie pocieszaj także, zachęcaj swych ziomków, broń naszej wspólnej sprawy, dawaj dobre rady, wzniecaj miłość wolności, wzmacniaj wolę jej osiągnienia.. Jeżeli czas rozstrzygania naszej sprawy jest daleki, triumf jej nie mniej jest pewny"*. [2])

Przebłyski tego „triumfu" zaczęły zaznaczać się w narastającym pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych wzmożonym ruchu narodowo-wyzwoleńczym w Królestwie. Drobne ustępstwa caratu zachęcały do dalszych żądań, a równocześnie do organizowania powstania narodowego. Nadzieje na powodzenie ruchu polscy demokraci, zwani „czerwonymi", opierali na równoczesności wystąpienia zbrojnego z Rosjanami i wprowadzeniu w życie reform agrarnych.

Na łamach „Kołokoła", Hercen walczył o reformy agrarne, a także o sprawiedliwe rozwiązanie kwestii polskiej. Te sprawy wysunęły się na czoło problematyki pisma. Równocześnie i Hercen i „Czerwoni" chcieli realizować wspólne polsko-rosyjskie powstanie przeciwko caratowi. Potiebnia i Padlewski odbyli narady z Hercenem, ważyli szanse za i przeciw. Niestety szanse na wywołanie szerokiego chłopskiego ruchu w Rosji na początku 1863 roku były nikłe. Dlatego Hercen radził, by moment wybuchu odłożyć przynajmniej na kilka miesięcy. Tymczasem zarządzona w Królestwie przez namiestnika Gorczakowa, na wniosek Wielopolskiego, branka (pobór do wojska w/g z góry ustalonych spisów, a nie drogą losowania), która miała pozbawić „Czerwonych" rezerw ludzkich, zmusiła ich do działania. Powstanie stało się faktem w najbardziej niesprzyjających okolicznościach, kiedy to rosyjski ruch rewolucyjny nie mógł mu udzielić wydatnej pomocy.

Szermierzem sprawy polskiej za granicą w tym czasie staje się właśnie Hercen. Od chwili wybuchu powstania styczniowego niemal w każdym numerze „Kołokoła" znajdujemy słowa otuchy dla usiłowań polskich, przy równoczesnym potępianiu carskich stupajek z generalskimi czy pułkownikowskimi dystynkcjami.

Na wiadomość o bohaterskiej śmierci Andrzeja Potiebni w bitwie pod Piaskową Skałą, Hercen pisał: *„Nie wiedziała rosyjska kula, która przeszyła Potiebnię, jakie życie zatrzymała przy pierwszych jego krokach. Czystej, bardziej bohaterskiej i wierniejszej ofiary oczyszczenia nie mogła Rosja złożyć na gorejącym ołtarzu wyzwolenia Polski"* ***).

Pełne pasji wystąpienia Hercena w obronie powstania rozpętały falę nienawiści przeciwko wielkiemu pisarzowi i myślicielowi. Oskarżano go o zdradę, o kopanie przepaści między sobą a narodem, którego jest przedstawicielem.

Swoje stanowisko zamknął Hercen w zdaniu: *„Na przekór wszystkim pozostaliśmy wierni sprawie polskiej i ludowi rosyjskiemu"*. Tę głęboką myśl Hercena zrozumie raznoczynna młodzież rosyjska, organizując na schyłku lat sześćdziesiątych tajne kółka rewolucyjne, rzucając wśród rówieśników hasło pójścia w lud. Dla powstających wówczas grup narodnickich pisma Hercena i Czernyszewskiego staną się drogowskazem politycznym.

Z chwilą rozwinięcia się w Rosji ruchu robotniczego wskazania Hercena straciły swą aktualność. Przeszły do historii jako ważne ogniwo rosyjskich demokratyczno-rewolucyjnych tradycji, odzwierciedlających przemiany społeczno-ekonomiczne kraju.

*) Hercen A. — RZECZY MINIONE I ROZMYŚLANIA, t. I, Warszawa 1951, s. 186.

**) Lelewel J., LIST DO HERCENA, WYBÓR PISM POLITYCZNYCH, Warszawa 1954, s. 265.

***) Hercen A., O POWSTANIU STYCZNIOWYM, Warszawa 1962, s. 193.

## Listy do Redakcji

### GŁOS O STUDIACH PEDAGOGICZNYCH

Czytam regularnie „Sztandar Młodych" i chcę właśnie nawiązać do artykułów czytanych tam o „Międzynarodowym Roku Oświaty" i o „Ofensywie Studiów Zaocznych i Wieczorowych".

Sprawą, która mnie interesuje to Zaoczne Studia Pedagogiczne przy Wydziale Filozoficzno - Historycznym Uniwersytetu Łódzkiego — studia przyszłościowe i ciekawe, także ze względu na kierunek poboczny: wiedza o kulturze, studia podległe Ministerstwu Kultury i Sztuki. Chodzi o to, że to jest jedyny kierunek w Polsce o takiej specjalizacji, więc kandydaci rekrutujący się na studia pochodzą z całego kraju. Wydaje mi się, że można by pomóc osobom studiującym zaocznie przez utworzenie punktów konsultacyjnych w innych miejscowościach, m. in. w Toruniu (przy Uniwersytecie Mikołaja Kopernika) lub w Bydgoszczy (przy Wyższej Szkole Nauczycielskiej). Uniwersytet Mikołaja Kopernika ze względu także na obchody związane z rocznicą kopernikowską jest w rozbudowie. To podniosłoby rangę miasta tak jednego jak drugiego. Myślę, że te punkty mogłyby powstać także w innych miejscowościach. Łódź jest miastem o najbardziej chyba rozbudowanym systemie studiów zaocznych. Utworzenie punktów konsultacyjnych rozwiązałoby problem dojazdów i noclegów — tak trudnych w tym mieście.

Prof. H. Jabłoński (cytat z art. „Międzynarodowy Rok Oświaty" — Sztandar Młodych) mówi w swoim referacie o prawidłowym ukierunkowaniu i rozwoju badań pedagogicznych.

Może właśnie zajmie się Krajowy Komitet Obchodów MRO sprawą popularyzacji oświaty i wychowania w kraju.

„Nowy rok akademicki przyniesie dalszą intensyfikację kształcenia na studiach dla pracujących (cytat z artykułu Sztandaru Młodych — „Ofensywa studiów zaocznych i wieczorowych"). Uczelnie humanistyczne mają w nowym roku akademickim opiekować się 40 (blisko) punktami konsultacyjnymi — tak więc nasze „dyskusje o przyszłości" muszą być realne, konstruktywne, muszą pomagać żyć, pracować i kształcić się „na dziś i na jutro".

**ANNA KABACIŃSKA**
**Bydgoszcz**

# Podzwonne dla mandoliny

*Przed kilkoma miesiącami zmarł Edward Ciuksza — ostatni pionier muzyki mandolinowej w naszym kraju. Jeszcze kwiaty nie zwiędły na jego grobie, gdy przyjechał do Łodzi kierownik redakcji muzycznej Polskiego Radia w Warszawie i oświadczył, że popularna orkiestra ulega likwidacji. Pomijając nietakt, sprawa jest dość kontrowersyjna. Orkiestra ta, zapewne nie najwyższej wagi, ale w swoim rodzaju jedyna, zrosła się z pejzażem naszego miasta, zdobyła powodzenie, zawiązała nić tradycji, którą przerywa nie śmierć dyrygenta, lecz decyzja płynąca ze stolicy. Decyzja, dodajmy podjęta bez współudziału miejscowych czynników.*

*Ileż to już razy za życia Ciukszy czyniono zamach na ten zespół. Ostra reakcja opinii publicznej jak również osobiste zabiegi jej kierownika przedłużały żywot orkiestry. Zdobyła ona w ciągu ćwierćwiecza swego istnienia na łódzkim gruncie liczną rzeszę miłośników, rekrutującą się głównie spośród ludzi starszych wiekiem, szczególnie z małych miasteczek, wsi, a także z łódzkich robotników. Nie ma chyba w Łodzi zakładu, w którym zespół ten by nie koncertował. Wpływ orkiestry zaznaczył się również w ruchu amatorskim. Na Śląsku i na Ziemiach Odzyskanych powstało wiele zespołów mandolinowych, które z powodzeniem naśladują Ciukszę. Mandolina jest instrumentem stosunkowo tanim i dość łatwym do opanowania.*

*Nie mam oczywiście zamiaru rozdzierać tutaj szat i upierać się przy dalszej egzystencji zespołu. Muzyczni eksperci Polskiego Radia w Warszawie doszli do wniosku, że poziom artystyczny tej orkiestry jest najniższy ze wszystkich orkiestr radiowych w kraju, a oni przecież znają się na tym lepiej. Zdaję sobie także doskonale sprawę, że żaden krytyk muzyczny nie zaangażuje w tej sytuacji swego autorytetu w obronie łódzkich mandolinistów. Nie jest to nawet kwestia oceny poziomu i osobistych gustów, lecz przede wszystkim snobizmu. Nie wypada bronić czegoś, co podoba się niezbyt wyrobionej muzycznie publiczności. Nie ma tu nawet nic do rzeczy taki fakt, że nakłady produkowanych do sprzedaży płyt nagranych przez tę orkiestrę zajęły pod względem ilości drugie miejsce po zespole „No To Co".*

*Klamka zapadła w Warszawie i można już tylko pisać podzwonne. Zachodzi jednak pytanie, co w zamian Łódź otrzyma? Gdyby chociaż zwolnione etaty po tym zespole otrzymała orkiestra Debicha, to byłoby już coś. Ale znając stosunek do „prowincji", nie należy się niczego spodziewać.*

*A w ogóle cała sprawa jest dość smutna i żenująca. Ilustruje ona dokładnie stosunek niektórych osób do zjawisk kultury masowej. Najpierw tej orkiestrze dano maksymalne normy radiowe, potem zabroniono grać co lepszych kompozytorów jak Griega, Sibeliusa, Czajkowskiego, a wreszcie orzeczono, że jej poziom jest za niski na współczesne gusta i wraz ze śmiercią Ciukszy postanowiono orkiestrę zlikwidować.*

*Zdaję sobie też sprawę, że występując w obronie tego zespołu automatycznie zaszeregowuję się w oczach melomanów w poczet ludzi o wątpliwych gustach artystycznych. Gdyby tak Filharmonię Łódzką zamierzano zlikwidować, a ja wystąpiłbym gorąco w jej obronie, wtedy spadłby na mnie nie lada splendor. Nawet ludzie, którzy nigdy w życiu w Filharmonii nie byli, składaliby mi gratulacje z powodu bojowości moich wystąpień. Niestety, na moje nieszczęście, nikt Filharmonii na razie nie chce likwidować, więc jednak będę bronił orkiestry mandolinowej.* K. B.

# PWN w ŁODZI w obliczu nowych zadań

**Z dyrektorem Łódzkiego Oddziału PWN mgr Jerzym Górczakiem rozmawia Włodzimierz Stokowski.**

**— Wydawnictwa naukowe i popularno-naukowe Państwowego Wydawnictwa Naukowego cieszą się coraz większym popytem na rynku wydawniczym. Znikają z półek księgarskich niemal natychmiast. Panie Dyrektorze, jakie książki wydaje Oddział PWN w Łodzi?**

— Na czoło naszych prac edytorskich wysuwają się pozycje naukowe i popularnonaukowe z zakresu nauk ścisłych, dominują wśród nich prace z matematyki, fizyki, geometrii, mechaniki, cybernetyki, elektroniki i in. Preferujemy je zgodnie z wytycznymi ostatniego plenum Komitetu Centralnego. Kolejne miejsce zajmują prace dyscyplin humanistycznych, a więc historii, socjologii, psychologii, pedagogiki, filozofii. Poza tym wydajemy monografie i rozprawy naukowe, adresowane do specjalistów różnych dziedzin nauki oraz naukowe wydawnictwa seryjne i czasopisma placówek naukowych PAN, towarzystw naukowych specjalistycznych i ogólnych, wyższych uczelni itp. Dla przykładu pragnę podać, że w m-cu kwietniu wydaliśmy szereg aktualnych i poszukiwanych na rynku wydawniczym tytułów, jak np.: E. Kocierza — „Z teorii bodźców ekonomicznych", J. Wiatra — „Współczesny antykomunizm a nauki społeczne", T. Wujka — „Oświata dorosłych w Anglii". W maju br. ukażą się m. in.: Z. Tyszki — „Przeobrażenia rodziny robotniczej w warunkach uprzemysłowienia i urbanizacji", B. Gruszyna — „Czas wolny".

Gros naszych edycji, bo około pięćdziesiąt procent, stanowią podręczniki i skrypty dla szkół wyższych.

**— Pięćdziesiąt procent to niewątpliwie dużo, a mimo to podręczników i skryptów wciąż brakuje.**

— Tak, ponieważ potrzeby stale rosną. To pozytywne zjawisko stwarza problemy techniczne nieraz trudne do rozwiązania, ale z drugiej strony cieszy, wskazuje bowiem na coraz szersze zainteresowanie myślą naukową. Istnieją określone przyczyny obiektywne, które stanowią przeszkodę w pełnym zaspokajaniu potrzeb w tym zakresie. Niemniej uruchamiamy wszystkie możliwe rezerwy produkcyjne — że użyję tego określenia — aby pokryć ten nieustannie rosnący popyt. Należy przy tym wziąć pod uwagę, iż w dziale edycji skryptów akademickich, musimy w zasadzie zaspokajać potrzeby całego kraju. Ponadto nasz Oddział, we wszystkich działach wydawniczych, obok własnego regionu, zaspokaja również potrzeby Kielc i województwa kieleckiego, a także wykonuje wiele zamówień ośrodka warszawskiego.

**— Jaka jest globalna produkcja wydawnicza Oddziału PWN w Łodzi?**

— Duża, a spośród wszystkich oddziałów PWN — największa. W ubiegłym roku wyniosła ona 6400 arkuszy wydawniczych, tzn. mówiąc lapidarnie, ponad 140 tys. stron. Stanowi to około 25 procent produkcji wydawniczej PWN w skali całego kraju. Warto przypomnieć, iż oddziały PWN znajdują się w takich, obok Łodzi, silnych ośrodkach naukowych i kulturalnych, jak Kraków, Poznań i Wrocław.

**— Czy Oddział w Łodzi eksportuje swoje prace edytorskie?**

— Tak. Do Wielkiej Brytanii, NRF i Stanów Zjednoczonych. Eksport stanowi nawet dość pokaźny procent naszych wydawnictw, które wykonujemy — podkreślam to — na zamówienie zagranicznych kontrahentów. Świadczy to o zainteresowaniu innych krajów naszym dorobkiem naukowym. Dla przykładu podam parę tytułów: Prof. Oskar Lange — „On Political Economy and Econometries", tegoż autora w języku niemieckim — „Einfuehrung in die Oekonomische Kybernetik" (marzec 1970 r.), prof. Stefan Mazurkiewicz — „Travaux de Topologie et ses applications", prof. Kazimierz Kuratowski — „Topology" t. I (luty 1970 r.), M. Schlauch — „Language and Study of Langwes Today" (marzec 1970 r.) i szereg innych.

**— Czy Wasi zagraniczni kontrahenci zgłaszają jakieś zastrzeżenia co do technicznej strony wykonanych zamówień?**

— Nie. Wprost przeciwnie, są zadowoleni i chwalą wysoki poziom techniczny naszych edycji. A przecież zarówno Wielka Brytania jak NRF i USA należą do rzędu światowych potęg poligraficznych.

**— W jakim stopniu, na tle tych ogólnych zadań, zaspokaja Wydawnictwo potrzeby łódzkiego środowiska naukowego?**

— W stosunkowo dużym i z tendencją do wzrostu. Wydajemy „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Łódzkiego", „Zeszyty Naukowe Politechniki Łódzkiej", „Łódzkie Studia Etnograficzne", wiele prac Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, a między nimi zwłaszcza „Biuletyn Peryglacjalny", wydawnictwo o znaczeniu międzynarodowym; ponadto wykonujemy „Prace i Materiały" Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi, „Rocznik Łódzki" Łódzkiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego i wiele innych.

W kwietniu br. ukazała się tak zwana Księga Jubileuszowa z okazji 25-lecia istnienia UŁ: „Uniwersytet Łódzki 1945—1970". W tym czasie wydaliśmy jeszcze kilka tytułów jubileuszowych, a wśród nich trzy monografie: „Łódź. Rozwój miasta w Polsce Ludowej", „Łódzkie. Rozwój województwa w Polsce Ludowej" oraz „Kieleckie. Rozwój województwa w Polsce Ludowej" — z okazji 25-lecia PRL, w ramach tzw. Biblioteki Wiedzy o Polsce Ludowej. Warto w tym miejscu podkreślić, że autorami dwu pierwszych monografii są naukowcy łódzcy.

**— Czy Wydawnictwo ma wystarczające ilości surowca na pokrycie tak licznych prac edytorskich?**

— W zasadzie, tak. Mamy wystarczającą ilość papieru. Pracujemy przede wszystkim dla potrzeb pracowników nauki i innych środowisk twórczych oraz młodzieży akademickiej i dlatego też nasze władze zabiegają, jak dotąd skutecznie, o pełne zaopatrzenie nas w potrzebne surowce.

**— Jaką bazą poligraficzną dysponuje PWN w Łodzi?**

— Niewystarczającą dla naszych potrzeb. Większość, bo około siedemdziesięciu procent prac wykonujemy we własnym zakładzie graficznym PWN, w większości techniką tak zwanej małej poligrafii. W pierwszym rzędzie drukujemy tutaj podręczniki i skrypty dla wyższych uczelni oraz zamówienia eksportowe. Jednakże moc produkcyjna zakładu jest zbyt mała, by pokryć zapotrzebowanie choćby tylko młodzieży studenckiej. Należałoby tę moc co najmniej podwoić, ale jest to obecnie nieosiągalne. Wobec nieustannie rosnących potrzeb z jednej i niemożności odnowienia urządzeń produkcyjnych z drugiej strony, obserwujemy negatywne zjawisko pewnego regresu produkcji, wprawdzie niewielkiego, ale jednak regresu. Mam tu na myśli bazę techniczną małej poligrafii.

**— Taka sytuacja nie narodziła się nagle. Było wiadomo, że wraz z rozwojem nowoczesnej Łodzi, będą się rozwijać instytucje naukowe, a co za tym idzie — będzie równocześnie rosnąć zapotrzebowanie na książkę naukową.**

— Zgadzam się, ale to już jest czas przeszły. Złożyło się na to wiele przyczyn. W każdym razie, poczynając gdzieś od roku 1960, urządzenia i park maszynowy Zakładu Graficznego PWN w Łodzi nie były modernizowane, maszyn nie wymieniano na bardziej nowoczesne. Odczuwamy również ostro brak części zamiennych do eksploatowanych urządzeń i maszyn poligraficznych.

**— O ile mi wiadomo, warunki lokalowe zakładu też nie są najlepsze?**

— Są wręcz fatalne. I pragnę w tym miejscu mocno podkreślić, iż przede wszystkim dzięki wysokim kwalifikacjom zawodowym naszej kadry poligraficznej i jej ofiarności w pracy, Oddział PWN w Łodzi daje do rąk czytelników produkcję, jeśli idzie o eksport, na poziomie światowym. Ale powracając do spraw lokalowych. Część zakładu mieści się w budynku starym i ciasnym, w dodatku zlokalizowanym na placu budowy Politechniki Łódzkiej, która pragnąc wykonać swoje zamierzenia inwestycyjne, dąży do usunięcia zakładu ze swego terenu. Trudno się temu dziwić. Taki stan tymczasowości trwa już dobrych kilka lat, jako, że lokalizacja zakładu miała być prowizoryczna. Mając poparcie Łódzkiej Instancji Partyjnej oraz władz miejskich podjęliśmy energiczne starania o znalezienie na terenie miasta odpowiedniego obiektu o powierzchni około półtora tysiąca metrów kwadratowych, w którym moglibyśmy ulokować nasz zakład i wreszcie szerzej odetchnąć. Korzyści takiej stabilizacji są oczywiste: zwiększenie, polepszenie i rozszerzenie asortymentu produkcji wydawniczej.

**— Czy Wydawnictwo korzysta z pomocy innych zakładów graficznych?**

— Tak. Drukujemy nasze prace w Łódzkiej Drukarni Dziełowej, w Pabianickich Zakładach Graficznych, w PZWS, w Drukarni Wojskowej i w Zakładach Graficznych RSW „Prasa". Jest to współpraca owocna, ale nie pozbawiona kłopotów. Nasze edycje należą do tzw. tytułów trudnych, zawierających mnóstwo przeróżnych znaków matematycznych, chemicznych, fizycznych, liter alfabetu greckiego, znaków obcojęzycznych itp. Łódzkie drukarnie najczęściej nie dysponują zestawem takich czcionek, a co więcej — część z nich nie ma nawet odpowiednio bogatego zestawu kroju czcionek polskiego alfabetu. Stąd większość kłopotów, o których wspomniałem. Szczególnie trudności tego rodzaju ma Łódzka Drukarnia Dziełowa, która decyzja Zjednoczenia Przemysłu Poligraficznego powinna wykonywać dla nas 600 arkuszy wydawniczych składu rocznie. Mimo zapewnień ZPP, że zaopatrzy Łódzką Drukarnię Dziełową w potrzebny sprzęt, do dziś w zasadzie sprawa nie ruszyła z miejsca. Jeszcze trudniejszą sytuację mamy w Pabianickich Zakładach Graficznych, które głównie przystosowane są do wykonywania łatwych prac, jak kalendarze czy cenniki, a nie trudnych składów naukowych. Tylko silny deficyt w mocach produkcyjnych zmusza nas do lokowania tam niektórych tytułów naukowych.

Wyjątkowo cenna jest dla nas współpraca z drukarnią PZWS i Drukarnią Wojskową. Są one najlepiej na terenie miasta wyposażone w sprzęt poligraficzny, dzięki temu mogą wykonywać nawet skomplikowane tytuły naukowe. Istotną trudność upatrujemy w braku umowy wydawniczej z obu zakładami, co uniemożliwia planowanie prac edycyjnych. Wskutek tego nasza współpraca ma, niestety, charakter doryczny. Zarówno w PZWS, jak i w Drukarni Wojskowej wykonaliśmy wiele cennych i trudnych książek naukowych i dla dobra wspólnej sprawy zależy nam na zawarciu z nimi umów wydawniczych. Tym bardziej, że i PWN i PZWS podlegają jednemu Ministerstwu — Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, a z Drukarnią Wojskową mieliśmy taką umowę do roku 1968.

Bardzo dobrze układa się nam współpraca z Zakładami Graficznymi RSW „Prasa", dobrze wyposażonymi w sprzęt poligraficzny. Zakłady te, z którymi już od dawna mamy umowę wydawniczą, wykonują dla PWN wiele trudnych zamówień. Sądzę, iż w związku z budową nowoczesnego obiektu dla Zakładów Graficznych RSW „Prasa" na Widzewie, byłoby nader korzystne — przede wszystkim z punktu widzenia zaspokajania potrzeb łódzkiego środowiska naukowego — aby uzbrojono go w taki sprzęt poligraficzny, który by umożliwił wykonywanie nawet najtrudniejszych tytułów naukowych. Sądzę, że byłoby również pożądane utworzenie tam działu specjalizującego się w edycji dzieł wyłącznie naukowych, ściślej czasopism naukowych.

**— Czy mimo trudności, o których Pan mówił przed chwilą, dzisiejsza Łódź uniwersytecka może liczyć na zaspokojenie wzmożonego popytu na książkę naukową?**

— Jeszcze — tak. Choć z dużym trudem i nie w pełni. Kiedy jednak popyt przewyższy granice wydolności produkcyjnej naszej aktualnej bazy poligraficznej, powstaną duże trudności. Bardzo ogólnie rzecz ujmując, zależy to od tego, jak szybko będzie rosnąć ten popyt i jak szybko uda nam się usunąć wspomniane hamulce produkcyjne. Na dłuższą metę nasza słaba baza poligraficzna nie wytrzyma naporu potrzeb wydawniczych. Krótko mówiąc, problem polega z jednej strony na braku nowoczesnych maszyn i urządzeń, a z drugiej na zbyt szczupłej kadrze wysoko kwalifikowanych poligrafików.

Nawet usunięcie trudności, ujawniających się podczas naszej współpracy z łódzkimi zakładami graficznymi nie załatwi sprawy. Będzie półśrodkiem, bowiem nieustanny rozwój już istniejących placówek naukowych oraz powstawanie coraz to nowych wymagają w niedalekiej perspektywie radykalnego rozwiązania tego problemu: wybudowania w Łodzi drukarni naukowej z prawdziwego zdarzenia, przystosowanej do wysokich wymagań edycji naukowych. Pragnę przypomnieć, iż na posiedzeniu Prezydium Polskiej Akademii Nauk, które w marcu tego roku odbyło się w Łodzi, zapadły decyzje utworzenia w naszym mieście szeregu nowych instytutów i placówek naukowo-badawczych. To zobowiązuje.

**— Panie Dyrektorze, z jakimi własnymi inicjatywami wydawniczymi zamierza wystąpić Oddział PWN w Łodzi?**

— Dojrzewa myśl powołania, jeszcze w tym roku, merytorycznej redakcji do opracowania wielu monografii łódzkich np. poświęconych zakładom pracy, a w pierwszej kolejności tym zakładom, które mają za sobą długoletnie tradycje walk rewolucyjnych. Następnie chcielibyśmy się pokusić o opracowanie monografii na temat tradycji rewolucyjnych Łodzi, ponieważ dotychczasowe prace na ten temat mają charakter przyczynkarski. Należałoby też pokusić się o monografię traktującą o Łodzi akademickiej, teatralnej itp. Tylko czynny udział łódzkiego środowiska naukowego pozwoli nam wykonać te trudne zamierzenia. Oczywiście w okresie poprzedzającym powołanie takiej redakcji będziemy zabiegać o poparcie dla tej idei ze strony Łódzkiej Instancji Partyjnej, władz miejskich, Zarządu Głównego Zw. Włókniarzy, kierownictw zainteresowanych zakładów pracy oraz środowisk naukowych Łodzi. Mamy nadzieję, że nasza inicjatywa spotka się ze zrozumieniem i że jej wykonanie przyniesie nowe wartości poznawcze, m. in. z dziejów walk rewolucyjnych łódzkiej klasy robotniczej.

**— Czy Wasz zespół jest przygotowany do wykonania takich zadań?**

— Jak najbardziej. Nasz zespół składa się z pracowników o wysokich kwalifikacjach zawodowych, a także wielkim wyrobieniu politycznym i społecznym. Chciałbym tutaj podkreślić, że zespół naszego Oddziału PWN, pierwszy spośród wszystkich wydawnictw w kraju, zainicjował w ubiegłym roku czyn produkcyjny dla uczczenia 25-lecia PRL, a w bieżącym roku — czyn leninowski. Ponadto aktywnie uczestniczy we wszystkich akcjach społecznych, biorąc na przykład udział w akcji na rzecz funduszu mieszkaniowego dla sierot, funduszu na Pomnik Zdrowia Dziecka, na rzecz wychowanków jednego z łódzkich Domów Dziecka, i innych.

*FOT. ANDRZEJ W. PIETRZYK*

# Wiersze poetów łódzkich

**MAREK WAWRZKIEWICZ**

* * *

Drobnymi usty
wiatr
Poro niepowrotów
Zimo śniegu z przedwczoraj
Porwanie, wzniesienie
W nagłą złotą pełnię
Przez ptaki białopióre
Wśród nocy pod wtór
Wilków wyjących przy krzywej zagrodzie
Pełnej błądzących cieniów
Szumny ostry lot
Krakanie białopiórych
Niechaj go nie słyszę
Wśród wilczej nocy
Niech zwiędnie ten lot
Czerwonym liściem
Przedsennym pacierzem
Nic
jest jak było
Daj nam powszedniego
Teraz i zawsze
Amen. Amen. Amen.

Marzec, 1970

**JAN HUSZCZA**

## Rów

Ot, lec w przydrożnym naszym rowie,
który uniknął ostrza kos,
uwadze jakoś uszedł krowiej.
Lato nabiło tu swój trzos.

Rozchodnik na dnie, powój wyżej,
ta rozmaitość ziół i traw,
grzęznąc w zapachów słodkim wirze,
doniosłych widzisz tyle spraw.

A mógł on być strzeleckim rowem,
w ucieczce służył jako schron,
to w nim niejeden tulił głowę,
gdy opuszczony płonął dom.

Tu w macierzance trzmiel i pszczoła,
przy twoim uchu tyle nut
ledwo słyszalnych, a u czoła
kropelka rosy, srebrny chłód.

Przechodzą obok ślepogłusi,
pudełka niosąc, z których gęg.
A rów żadnego z nich nie skusi,
więc od nich cień pełznie jak lęk.

To wszystko nazwałby botanik,
przybyłoby nam dziwnych słów,
Tu, gdzie sypiali zmordowani,
zaciszna przystań, zwykły rów.

Chociaż i piołun tu łodyżką
wkrada się siwą, niechaj raz
nie truje wiru. Złotą szyszką
zapłonie zachód. Miły czas!

**ZIEMOWIT SKIBIŃSKI**

„SZKICOWNIK KRYMSKI"

## Na Ajudahu

Złoty wąż szaławi w upale,
dalej — w cząbrach płonie polana
i nagle czoło skały
— niebo i morze —
błękit błękitem zapalił
albo niebo pije z czary maris.

Skąd siły zaczerpnę,
z czym, z kim w jedność się scalę?
Obcy — a bez granic —
siebie trawię.
Tu — dalej — jedno wszystko.
Okrutne słońce pali.

**ANDRZEJ BISKUPSKI**

## Zaćmienie

I księżyc jest ogromny gdy wylegnie w polu
— w zaćmienie słońca, i ziemi: w zaćmienie...
— w zaciemnieniu okien, oczu — gdy zmęczone:
jak woły zaglądają w swoje wnętrze puste;
albo jak woły co w obory idą — najprościej,
przed siebie... i nie przez przestrach — idą zbyt ubogo,
nie pamiętają pola a niosą je w sobie..

Czasem tylko — gdy mylą miejsca wciąż te same,
idą: i wloką ziemię całą...

**TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI**

## Zagłoba i królewna Banialuka

Pyta mędrek Zagłoby: gdzie się ów żołnierki
Uczył? Rzekł: — W Tumidaju, w cekauzie u Terki.
Pyta wtórnie. Ów odparł: — W klasztorze w Riazaniu
Archifechtów wyuczył mnie Michał Archanioł.

Tamten znowu nań dybie: skąd bierze fortele?
Olej we łbie? Przecz miodnym darują go sercem?...
Lecz iż, contra naturam, mówił mało wiele,
Mędrek nań polityczniej natarł przy butelce.

Mąż rzekł: — Imaginację ćwiczyłem z lat młodych,
Bez której łeb, i dłoń, ma facultatem kłody,
Jako u mędrków bywa.
Dawała nauki
Ucieszna Banialuka w bośnieńskiej krainie
Plotąc Orpheo modo brzęk na tamborynie
W swe facecje...
A mędrek słusznie: — banialuki!

**IGOR SIKIRYCKI**

## Przed portretem królowej Tamary

Chmurna Tamar,
łuk brwi twoich
nieopatrznie strzały miotał.
Cóż zawinił Rustaweli,
twój pokorny sługa, Szota?

Jakże mógł nie kochać ciebie,
twej jak Gruzja pięknej twarzy,
ten co nawet nad przepaścią
cień nadziei zauważył?
Jakże mógł przejść obojętnie
obok jezior twoich oczu,
ten co ogień z dna wulkanu
w swoim sercu nagle poczuł?
Jakże mógł nie pragnąć chłodu
wysokiego twego czoła,
ten co idąc twoim śladem
przez pustynię przebrnąć zdołał?
Jakże mógł on nie pożądać
twoich dumnych ust na własność,
kiedy one to sprawiły,
że przed świtem nie mógł zasnąć?
Jakże mógł powstrzymać dłonie,
by nie musnąć kos twych kruczych,
ten co gwiazd dotykał piórem
i słowika śpiewać uczył?

A tyś za to odpłaciła
nierozważną gniewu strzałą
i zraniłaś taką miłość,
której zabić się nie dało.

Chmurna Tamar,
łuk brwi twoich
nieopatrznie strzały miotał.
Cóż zawinił ci ten młodzian,
Nieśmiertelny Witeź Szota?!

*Rys. A. Grun*

**JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI**

## Michał Anioł Buonarotti

*MOTTO:*

*Sen cenię, głazem być jest lepszym losem,*
*Póki zło z hańbą w świecie się panoszą.*
*Nie wiedzieć, nie czuć jest dla mnie rozkoszą;*
*Przeto mnie nie budź, cyt! mów cichym głosem.*

*MICHAŁ ANIOŁ BUONAROTTI*

Ta istotność kamienna we mnie
niezmienna już choć płynna jeszcze
oto kamień podnieśli z błot Pompei
w nim ogień zamknięty
który muszę dobyć
by zażegnać w sobie
„O, jakież szczęście to, że płomień taki
Mam jeszcze w sobie i z nim odnowienie,
Gdym stanął prawie już przed śmierci bramą"
czas pokonany powlecze się za mną
jak pies poddany krokom pana
kamień skruszeje kształt opuści oczy
lecz do mnie będą należały dzieje
bom tak oddzielny od nich
jako i od ludzi
bo żyć i w dziele możesz
gdy dzieło jest z ciebie

**KONRAD FREJDLICH**

## Anatomia

noża nieomylnym instynktem wiedziony
wśród zmąceń metalu znajdę błysk właściwy

rąk mi nie rozchwieje nagły zawrót płatków
w oranżeriach szklonych zapachem rozprysłym

pozgarniam te wonie w naręcza raniące
aż płat skóry zeschły ze mnie się osypie

wgięte blaszki liści będą zieleń rdzawić
a owady zgryzą kwiaty na opiłki

bo śmierć lśnienie ostrza stopniowo wygasza
gdy tu trupim jadem po trzon matowieję

więc mi już nie mówcie o piękności róży
co uderzy w trumnę zapachem posępnym

# POLONICA

**POLSKIE KSIĄŻKI NAD MORZEM CZARNYM**

Bułgarskie wydawnictwo „Narodna Kultura" inauguruje w roku bieżącym nową bibliotekę pn. „Światowa klasyka", w której znajdzie się dwieście tomów najpiękniejszego dorobku literatury światowej. W pierwszej serii obok „Don Kichota" Cervantesa, „Dekamerona" Boccocia, „Szkoły uczuć" i „Pani Bovary" Flauberta, „Wojny i pokoju" Lwa Tołstoja, znajduje się również „Quo vadis?" H. Sienkiewicza. Bułgarscy czytelnicy będą mieli okazję bliżej zapoznać się z naszym czołowym pisarzem „na eksport" poprzez zbeletryzowaną biografię „Pan Sienkiewicz" St. Majchrowskiego, która ma się ukazać w popularnej w w Bułgarii serii „Światowe portrety". Polską literaturę współczesną reprezentować będą: w tym roku wydana w bibliotece „Książka dla wszystkich" — „Smutna Wenecja" W. Kubackiego, poezje T. Różewicza w serii „Poeci współcześni" oraz powieść dla młodzieży „Muszkieter Itamoriki" M. Rusinka.

B. M.

**O WARSZAWIE PO BUŁGARSKU**

Wśród bułgarskich tłumaczy, którzy w ostatnim dwudziestopięcioleciu prezentują w swoim kraju polską literaturę, jedno z czołowych miejsc zajmuje twórczyni nowoczesnej tradycji przekładu poetyckiego z języka polskiego — Dora Gabe. Jej twórczość tłumacza datuje się od roku 1917, kiedy to w Sofii zaczął się ukazywać „Biuletyn Polski". Piękne przekłady fragmentów „Pana Tadeusza" rozpoczęły okres intensywnej pracy nad polskimi tekstami. W roku 1921 ukazała się w Bułgarii książka Dory Gabe „Poeci polscy" — antologia, obejmująca utwory ponad 20 poetów, od Mickiewicza po Skamandrytów. W dorobku tłumaczki są m. in. przekłady „Anhellego" i „Mazepy" Słowackiego, „Sonetów krymskich" Mickiewicza, „Hymnów" Kasprowicza, a także liczne wiersze Konopnickiej, Tuwima i Broniewskiego. Dora Gabe jest także autorką licznych wierszy o Polsce. Pierwszy pt. „Wawel" powstał w roku 1913 podczas pobytu pisarki i jej męża — wybitnego slawisty i przyjaciela Polaków prof. Bojana Pajewa, w Krakowie. Po drugiej wojnie światowej Dora Gabe powraca do tematyki polskiej w cyklu wierszy „Bohaterska Warszawa" poświęconych życiu i walce mieszkańców Warszawy, podczas okupacji hitlerowskiej.

B. M.

**TERESA JAKUBOWSKA WYSTAWIA OBRAZY W GENEWIE**

„Journal de Geneve" z 30. III. zamieścił rozmowę z graficzką warszawską, wychowanką Wydziału Sztuki Uniwersytetu Toruńskiego, Teresą Jakubowską. Wystawia ona swe dzieła w genewskim „Galerie — Club". Polska artystka powiedziała, że chodzi jej o człowieka samotnego w świecie nowoczesnej techniki. Jej dzieła ukazujące miasta takie, jak Wenecja, Rzym i Kraków są pełne humoru. Obecnie Jakubowska wybiera się do Japonii, potem będzie uczestniczyć w bienale krakowskim i festiwalu sztuk pięknych w Warszawie. Wyw.ad jest zaopatrzony w reprodukcję dowcipnego dzieła Jakubowskiej „Oczekiwanie" (na zdobycie Księżyca).

W. N.

**UROCZYSTOŚCI CHOPINOWSKIE W WIEDNIU**

Z okazji 160-tej rocznicy urodzin Fryderyka Chopina odbyły się w Wiedniu uroczystości, którym patronowały: „Internationale Chopin Gesellschaft", Czytelnia Polska oraz Towarzystwo Austriacko-Polskie.

W dniu 9 marca w sali koncertowej „Akademie fur Musik und darstellen de Kunst" odbył się koncert chopinowski w wykonaniu Haliny Czerny-Stefańskiej, a zagajony przez prof. dr H. Sittera.

W dniu 12 marca otwarto wystawę „Z życia Chopina i jego kontaktów z Wiedniem. Na wystawę złożyły się m. in. eksponaty, ofiarowane przez Towarzystwo Fryderyka Chopina w Warszawie.

Uroczystości zamknął odczyt „Nieznany Chopin". Wiedeńskie imprezy poświęcone Chopinowi wzbudziły duże zainteresowanie.

(er)

**„ULICA GRANICZNA" W PARYŻU**

Jak pisze „Humanité" z 23 kwietnia, w 25-tą rocznicę oswobodzenia hitlerowskich obozów śmierci wyświetlono w Paryżu polski film „Ulica Graniczna" ze wspaniałymi naszymi aktorami: Mieczysławą Ćwiklińską, Jerzym Leszczyńskim i Władysławem Godlkiem.

W.N.

**FESTIWAL W AWINIONIE**

Tegoroczny Festiwal w Awinionie, który rozpocznie się 11 lipca zakończyć ma się około 15 sierpnia. Jednak wystawa Picassa (167 płócien wielkiego formatu i 50 rysunków) trwać będzie od 1 maja do 30 września. A więc właściwie XXIV Festiwal trwać będzie pięć miesięcy. Tegoroczny Festiwal zapowiada się wyjątkowo atrakcyjnie. Program przewiduje szereg interesujących spektakli teatralnych, filmowych i choreograficznych. Ponadto odbędą się koncerty i prelekcje.

# POLONICA

ANTONI SZRAM

# Zegary i ikony

## *(Kartki z wystawy)*

**Codzienna prasa poinformowała: „KLUB PLASTYKÓW", zgodnie z przepisami handlowo-sanitarnymi, otwarto"... Poszedłem.**

**Sprawdziłem, że to prawda, że teraz KLUB działa, godziwie zaopatrzony, że tu bardzo wytwornie i sympatycznie przyjmuje się zarówno gości i wszystkich miłośników sztuk pięknych. Dziś mogę coś niecoś napisać, lecz nastrój tamtego pierwszego wieczoru gdzieś się ulotnił, fala tęsknoty odbiła, och, nie sprzyja długotrwałe wyczekiwanie publicyście.**

1.

Schodziłem schodami w dół. Do środka SALOONU prowadzą wahadłowe drzwi wejściowe (identyczne widziałem na obrazach B. Liberskiego) gość wchodzi do wnętrza sal przystrojonych drewnem i lampami według projektu architektury doświadczonego artysty plastyka pana Pukaczewskiego. Wnętrze zrobione con amore wizja par excellence ludowej izby — jeśli dobrze się przyjrzeć — wykracza poza ustalone pojmowanie terminu „folkloryzm", „sztuka ludowa", „sztuka łowicka"... Pukaczewski dał przykład udanej stylizacji tych komnat „na ludowo", tzn. uniwersalnej. Widoczny jest tu sposób aranżacji wnętrza (drewno, cement, i gwoździe) według ustalonych rygorów dobrego smaku, z utwierdzonych w tej dziedzinie schematów i podziału funkcjonalnego. W sumie jest coś osobliwie skojarzeniowego, coś z wszystkoizmu architektonicznego, coś z poczekalni, coś łódzkiego — secesyjnego; jeszcze brak tu tradycji, którą trzeba począć...

2.

Właśnie artystka Lena Kowalewicz znakuje pierwszy ślad GALERII w kronice tego warzyskiej tego KLUBU.

3.

Oglądamy ekspozycję Leny Kowalewicz. Otóż, sądzę, że artystka posiada kolosalną umiejętność (można pozazdrościć) pracowitego zapełnienia powierzchni swoich „desek" tysiącem gotowych elementów z porozkręcanego „w drobny mak" chronometru — zabytku, zegara, stopera. Kla rowność form, zdumiewająca maestria techniczna, logika kompozycji, ujawniają

zdolności artystki — potwierdzają wartości estetyczne jej myślenia kategoriami czystej konstrukcji, specyficznego strukturalizmu.

4.

Artystka, pedagog Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi, przejawia inwencję w wielorakich wariantach — kiedy wpada do jej rąk: trybik, sprężynka, drucik, tarcza, moneta, kamea, i tak dalej metalowe - błyszczące - zegarkowe — transformując to wszystko na współczesny „collage metalowy". W swej pracy odchodzi od konwencjonalnych dopozycji, które mogą nieco zaciekawić swym rozwiązaniem figury plastycznej. Te obrazy — nazwałbym — „ikony tik-tak-tik-tak" silnie emanują nastrojem, ekspresyjnym, częściej dekoracyjnym układem ornamentu; toż kares do widza!

5.

Fragmenty secesyjnych, starych i nowych „wnętrzności" zegarów i zegarków (świadków bytu człowieka) frapują panią Lenę Kowalewicz, chyba inspirują coraz bardziej, co widać w zindywidualizowanych dziełach. Można sobie myśleć dowolnie o tych obrazach (metale kolorowe plus drewno) z mnogością sugestywnych skojarzeń, z tokiem życia realnego i zjawisk faktograficznych pierwszych właścicieli zegarków — kiedy jeszcze naprawdę mierzyły czas. Zmaganie się artystki z materiałem i ze swoją wizją jest jednym ze sposobów rozrachunku ze światem.

6.

O ile malarstwo Leny Kowalewicz można by poddać krytyce za temat — odmawiając mu oryginalności, wytykając zbyt łatwe do wykrycia „chwyty", którymi się w tym obrazowaniu posługuje, w robieniu na stroju — o tyle główny atut jej sztuki leży w wykorzystaniu surowca, w zestawieniach barwnych metali — ogólnie, w koncepcji o subtelnej formie i rodzaju efektów konsekwentnie wydobywających lirykę przedmiotu, dyskretną elegancję sztuki dekoracyjnej. Obejrzałem MALARSTWO, które drażni oko, skłania do wniknięcia w grę aluzji, wymiaru życia — jego złudność materialną.

## *Przeszłość i teraźniejszość*

# Oblicze Trzeciej Rzeszy

Są takie obszary dziejów, na których publicystyka spotyka się z poważną historiografią, a oba te rodzaje piśmiennictwa zamieniają się rolami. Wnikliwy publicysta ani się spostrzeże, jak staje się naukowym badaczem; zaś utytułowany katedralny profesor nie zauważa, jak jego, w intencji nazupełniej naukowe pisarstwo, przemienia się w publicystykę. Każdy tydzień przynosi dziś na świecie nową książkę o drugiej wojnie światowej tak, że historyk, który by chciał uczynić zadość wpajanemu mu od początku studiów obowiązkowi pełnej znajomości literatury tego przedmiotu, który zamierza badać, musiałby stracić całe życie ne wertowanie książek, z którymi w praktyce mógłby się zapoznać nadzwyczaj pobieżnie. Pewien francuski historyk podał, że sama tylko bibliografia dotycząca głównych — podkreślam: głównych zagadnień dziejów powszechnych w latach 1914—1945 (a więc tylko trzydziestolecia!) wynosiła do 1964 roku około 11 tysięcy pozycji. A ile wynosi dziś? Tylko w bibliotekach warszawskich naliczono w 1966 roku ponad tysiąc książek obcojęzycznych, dotyczących zagadnienia genezy II wojny światowej, a więc nawet nie całych jej dziejów, i to tylko licząc publikacje w językach: rosyjskim, angielskim, niemieckim i francuskim. A przecież istnieje jeszcze spora ilość druków w innych językach, między innymi i w polskim. Opracowana lista nie ogarnęła też żadnych publikacji źródeł, w tym tak ważnych i licznych, jak wydane drukiem pamiętniki! „Przeważnie są to książki kilkusetstronicowe, a zdarzają się 700—800 stronicowe" powiada prof. Tadeusz Jędruszczak, który do zapoznania się z tym ogromem piśmiennictwa zaprzągł maszyny matematyczne. Nie każdy jednak historyk może i potrafi to uczynić, więc historycy — i to wcale nie tylko specjaliści od dziejów najnowszych — powolutku zaczynają dzielić się — jak to już ktoś powiedział — na tych, którzy czytają, a nie piszą, i tych, którzy piszą, a nie czytają. Jest jeszcze spore grono tych, którzy nie robią ani jednego, ani drugiego, i tylko oni mogą być w pełni zadowoleni...

Dzieje II wojny światowej są w dużej mierze dziejami naszego narodu i to wie u nas każde dziecko. Każda książka, każde wydawnictwo o tej najstraszliwszej z wojen znika błyskawicznie z półek księgarskich; im lepsze, tym szybciej. Tak stało się też z książką zachodnioniemieckiego publicysty Joachima Festa „Oblicze Trzeciej Rzeszy", wydaną właśnie (1970) przez „Czytelnik" z przedmową znanego polskiego specjalisty od tych lat prof. Franciszka Ryszki.

„Jest to książka o dokumentacji poważnej i solidnej — powiada F. Ryszka — książka o uogólnieniach budzących miejscami sprzeciw. Zasadnicze uogólnienia są jednak w sumie prawidłowe". Autor prezentuje oblicze Trzeciej Rzeszy przez pryzmat osób — jej przywódców — ale książka nie stanowi przecież zbioru biografii. Ambicje J. Festa sięgały dalej — pragnął on pokazać za pośrednictwem ludzi mechanikę owego tragicznego zwrotnego sprzężenia pomiędzy społeczeństwem, narodem niemieckim a protagonistami tamtych lat — i w znacznej mierze uczynił to z powodzeniem.

Nad obrazem III Rzeszy ciąży wiele schematów. Jeden lansowany uparcie zwłaszcza po tamtej stronie Łaby, wskazuje palcem: to oni, Hitler i jego najbliżsi, Goering, Goebbels, Himmler, Bormann i inni jeszcze, ale ani nie wszyscy intelektualiści, ani nie wszyscy wojskowi, bo przecież „Der Kreisauer Kreis" i opozycja generalska... Po naszej zaś stronie zbyt często spotykało się inny schemat, polegający na szukaniu winy po stronie anonimowego kapitału, który udzielił poparcia, co stawiało na ławie oskarżenia odczłowieczony stan stosunków klasowych, a nie konkretnych ludzi... Aczkolwiek nie we wszystkim zgodzić się można z wywodami J. Festa, cenić go trzeba za to, że nie uległ żadnemu z tych schematów.

„Przedstawienie protagonistów owych lat — pisze autor w zakończeniu swej książki — (...) nie powinno jednak stać się pretekstem dla tworzenia kozłów ofiarnych, które pozwoliłyby zapomnieć, że zawinił tu cały naród. Ten zbiór współczesnych studiów portretowych wymaga wreszcie wskazania na winę, której nie można wytłumaczyć samym zachowaniem czołowych postaci Trzeciej Rzeszy. „Hitler — zaklinał się Hans Frank w Norymberdze — był diabłem. To on uwiódł nas wszystkich". Takie frazesy nie zmniejszają ogólnej odpowiedzialności. Albowiem prawdą jest, że naród musi najpierw być podatny na uwiedzenie, by rzucić się w objęcia awanturze totalitaryzmu. Tam gdzie grzeszy się przeciw historii, nie ma „diabłów", którzy w samokrytycznej analizie nie ujawniliby oblicza przeciętnego człowieka".

Czytając książkę J. Festa zadaję sobie pytanie, czemu tak mało tłumaczy się u nas obcych opracowań o II wojnie światowej? Dlaczego polski czytelnik w tak niewielkiej mierze ma możność zapoznać się ze spojrzeniem na te tragiczne lata, jakie proponują obcy? Jesteśmy pod tym względem wielce zapóźnieni w porównaniu z naszymi sąsiadami, zwłaszcza ze Związkiem Radzieckim Tam wydawnictwa nie obawiają się, że ten czy ów obcy autor w tej czy innej sprawie ma pogląd zgoła odmienny od tego, który głosi nasze dziejopisarstwo. Nasza historiografia... — przecież z racji bariery językowej jest ona wciąż niedostępna wielu obcym specjalistom! Powiedzmy sobie prawdę, że wciąż jesteśmy nieobecni na światowym rynku dziejopisarstwa II wojny światowej, bowiem naszych książek ani my, ani nikt inny nie tłumaczy na obce języki. Póki ten stan będzie się utrzymywał nasze najsłuszniejsze racje pozostaną dla wielu obcych... nieznane. I trudno się spodziewać, by zmienić ten stan mógł ktokolwiek inny, jak nie my sami. Bowiem sprawa zaczyna nas kosztować, bilans strat będzie niewspółmiernie większy niż oszczędności na finansowaniu tłumaczeń.

JÓZEF GRZELAK

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

# Parnas recytatorów

Pod koniec kwietnia tego roku jako członek jury przysłuchiwałem się przez szereg dni szesnastym z rzędu bojom recytatorskim powiatowych zwycięzców turniejów — o nagrody i wyróżnienia wojewódzkie. Na estradce Łódzkiego Domu Kultury wystąpiło kolejno 56 uczniów (dla ścisłości, uczennic) najzawołańszych w sztuce żywego słowa oraz 24 nie mniej biegłych w tej dziedzinie młodych ludzi, którym brak tarczy na rękawach dawał patent do rosłości. Całość występów złożyła się na pouczający obraz zarówno panujących dziś mód i konwencji wypowiadania tekstów, jak i gustów literackich, typów wrażliwości, orientacji we współczesnych zjawiskach literatury i tych wszystkich rzeczy, które zwykło się określać pakownym terminem aktualna apercepcja książki. Zarysowany w wyniku tego „nasłuchu" aktualny obraz Parnasu polskiego w świadomości zdeklarowanych przyjaciół literatury jest nie tyle może reprezentatywny dla samych uczestników konkursu, co ich „trenerów" — repertuarodawców. Oto niektóre spostrzeżenia:

### ZAINTERESOWANIA KLASYKĄ

Z literatury do roku 1918 cieszy się wzięciem wybrednego miłośnika pięknego słowa w województwie łódzkim jedynie Norwid (jak co roku, szereg razy „Fortepian Chopina"). Poza tym pojedynczymi wierszami reprezentowani byli: Or-Ot, Antoni Bogusławski (najprawdopodobniej za pośrednictwem antologii P. Hertza „Wiersze, które lubimy"), Leśmian i Bronisława Ostrowska. Uderza niepopularność trzech wieszczów. Nie potwierdzałyby się, w odniesieniu do naszego województwa, opinie o żywiołowym renesansie zainteresowań Młodą Polską. Nie było np. w repertuarze ani jednego wiersza wielkiego jubilata roku kalendarzowego — Wyspiańskiego. Nie potwierdza się też dość apriorycznа chyba „konstatacja" o powszechnej fascynacji Witkacym i odpomnieniu Kadena. Z prozy między wojennej wygłaszano jedynie teksty z uroczystego kanonu lektury szkolnej: Dąbrowska, Nałkowska i inni. Międzywojenny Tuwim i międzywojenny Galczyński przypomnieni byli pojedynczymi wierszami. Ta powściągliwość uderza zwłaszcza na tle istnej galczyńskomanii, jeśli chodzi o późny, lecz, niestety „przedniobiański" okres twórczości Konstantego Ildefonsa.

### BESTSELLERY POEZJI I PROZY WSPÓŁCZESNEJ

Raz po raz doznawałem cudownego złudzenia — cofnięcia się w czasie i powrotu młodości. Przed szesnastu laty z racji sprawowania w aparacie kultury dygnitarskich funkcji brałem często udział w podobnych zespołach jurorów. Od chwili mojego wyjścia z aparatu wielokrotnie zmieniały się estetyki, mijały kierunki, wkraczały rozsierdzone nowe, zmieniali się, i to nie jeden raz, lokatorzy Parnasu, kilka generacji „cudownych dzieci" niepowstrzymany czas przemienił w wapniaków — klasyków — i oto nagle wracam na opuszczone przed szesnastu laty miejsce przy stole jury... i nadpływają ku mnie szeroką falą z estrady te same modne i cenione wiersze epoki minionej. Schematycznym wierszom okresu sekunduje podobna w treści i formie proza, często niezbyt już pamiętana

przez samych twórców... Ale oto cudowne złudzenie powrotu młodości raz po raz rozwiewają mi ogromnie smutni młodzi ludzie. Zwierzają się, szeptem tak dyskretnym, że słowa ich z najwyższym trudem docierają do jurorów (maniera, którą nadzwyczaj skutecznie upowszechniła „w masach" recytatorskich telewizja — instytucja dysponująca przyrządami akustycznymi ustawionymi w naszych normatywach mieszkaniowych o metr od słuchacza), iż świat jest w swej istocie wyjątkowo pieski, człowiek przez lekkomyślność metafizyki skazany od sekundy narodzin na perspektywę ustawicznego umierania, zaś immanentnego zła żadna idea nie jest w stanie polepszyć. Mówiąc zwięźlej, temat współczesny referowały nam w budującej koegzystencji — klasyczny schematyzm i zdeklarowany egzystencjalizm przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Bardziej wypośrodkowanych prób zdefiniowania dnia dzisiejszego nie dosłuchałem się. Było natomiast bardzo dużo utworów o wojnie, okupacji i pierwszych godzinach wolności. W tym wiele o rzeczywiście nie przemijalnych wartościach intelektualno-poznawczych i nieprzeciętnej randze artystycznej. Poetów pokolenia wojennego reprezentował wyłącznie Baczyński. Uderzała trochę nieprzyjemnie jego zupełna samotność na estradzie. Przyzwyczajony byłem widzieć i słyszeć go w tamtych czasach zawsze w dużym zespole poetów, z których co najmniej trzech: Gajcy, Borowski i Trzebiński — równi mu byli talentem.

A w ogóle zarekrutowany przez wojewódzkich polonistów i instruktorów Parnas jest dziwnie pusty i taki trochę niedzisiejszy. Poza wymienionymi nazwiskami, Różewicz, kilku od dawna już na tej dość urwistej górze nieobecnych schematystów i od mniej dawna — historyków. Świeżych lokatorów ostatniego dziesięciolecia reprezentowali — Brycht i... Siesicka. Na owym domniemanym wojewódzkim Parnasie nic a nic nie słychać o istnieniu — dla przykładu: Grochowiaka, Karpowicza, Nowaka, Nowakowskiego, Jarosława Marka Rymkiewicza. Neosiermiężnemu Bryllowi przypisuje się podobno niejaką popularność czytelniczą — muszę w tym miejscu owe złudzenia rozwiać. Za to pozytywnym novum repertuarowym jest felieton z ostatniej strony pism literackich. Mądry, odważny i przede wszystkim dowcipny felieton Hamiltona był sukcesem — nie tylko recytatorskim.

Wniosek ogólny dość chyba czytelny: niechęć do odświeżania ze strony profesjonalnych propagatorów literatury zestawionego kiedyś tam kanonu arcyutworów i kontakty z literaturą bieżącą — z doskoku.

### PRZYWIĄZANIE REGIONALNE

Tegoroczny turniej preferował temat Ziem Zachodnich i Północnych z okazji dwudziestopięciolecia ich powrotu, ale wcale nie rzadziej chwalono z naszej estrady uroki województwa stołecznego: zatem Mazowsza i Podlasia. W podsumowaniu jednego z dni złożyłem za to młodym recytatorkom — mieszkankom ziemi wieluńskiej, łowickiej, łęczyckiej, sieradzkiej, powiatu łódzkiego — podziękowania... w imieniu mojej „małej ojczyzny", ale zwróciłem jednocześnie uwagę na fakt, że to nie jest ich „mała ojczyzna" i że ich historyczne i malownicze regiony, bogate w folklor i zabytki, szczycące się bardzo interesującą współczesnością — posiadają, wraz z fabryczną stolicą tego województwa, niemałe miejsce w literaturze — dawnej i dzisiejszej. Ziemia łódzka jako temat nie pojawiła się ani razu na estradzie. Łodzi dotyczył tylko zgłoszony wprawdzie na konkurs, lecz nie zarecytowany, wiersz Kasprowicza. Rzecz dzieje się w czasie, gdy Wydawnictwo Łódzkie wydaje bodaj dwuchsetną książkę, związaną tematycznie z Łodzią i regionem. Z blisko siedemdziesięciu pisarzy związanych z Łodzią i województwem miejscem działalności i inspiracji twórczych (których utwory, poza książkami, docierają ustawicznie w teren za pośrednictwem periodyków literackich tzw. centralnych, „Odgłosów", „Osnowy" i młodzieżowo-terenowych: almanachu „Wiadukt" oraz „Spojrzeń") zbiorowy repertuarodawca wojewódzki zakwalifikował na recytatorski Parnas — tylko Ludwika Świeżawskiego i Władysława Strzeleckiego. Jeśli pozostali mieli zaszczyt przegrać w artystycznej konfrontacji np. z wierszem Stefana Chmielnickiego z Opola — to trudno: czytelnik, tak jak klient, ma zawsze rację. Jednakże wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że do konfrontacji wcale nie dochodziło, gdyż na przeszkodzie temu stała po prostu nieznajomość ich dorobku. Podobno osoba, której Łódzki Dom Kultury powierzył w swoim czasie opracowanie odnośnych materiałów dla potrzeb terenu, nie wywiązała się na czas ze zobowiązań. Nieładnie, że się nie wywiązała, ale nie w tym wydarzeniu należy szukać przyczyn niewesołego stanu rzeczy. Jedną z generalnych — jest typowy dla wielu okolic Polski i wcale nienowy kompleks nazaretański („I cóż dobrego może wyjść z naszego łódzkiego Nazaretu?" — powiadało jeszcze Pismo Święte) — kompleks wynikły z przekonania, że własny region jest wybitnie nieinteresujący i nie może być inny, że nadaje się on wyłącznie

do biernej wegetacji — kompleks arcyszkodliwy dla wszelkich zbiorowych wysiłków na rzecz rozwoju wielu „małych ojczyzn", które składają się na jedną dużą.

### ZE SPOSTRZEŻEŃ INNEJ NATURY

W utworach o grozie alienacji i bezsensie wszechistnienia specjalizowali się recytatorzy najodleglejsi wiekiem od niekwestionowanej dorosłości.

Czymś niezwykle budującym było dla mnie przejęcie się jurorów ich zadaniami. Działacze na znacznym szczeblu, dyrektorzy ważnych placówek, profesorka Wyższej Szkoły Teatralno-Filmowej, merytoryczna pracownica ministerstwa, ludzie cierpiący na chroniczny brak czasu dla siebie i swych rodzin — znaleźli go na kilkudziesięciogodzinną w sumie nasiadówkę przy stole jury, a później na tasiemcowe debaty i namiętne spory przy ocenach poszczególnych recitali, żeby ustalić werdykt możliwie najprecyzyjniejszy i najsprawiedliwszy. Nie zaginął więc jeszcze typ bezinteresownego działacza w naszym kraju — chorym podobno, jak niektórzy uważają, na etatyzację za angażowań emocjonalnych i tumiwisizm.

### ZE WZRUSZEŃ I ZASKOCZEŃ

Na scenie wysoki żołnierz. Zdawało się, że za chwilę zacznie wykrzykiwać coś niepomiernie patetycznego i hałaśliwego... tymczasem żołnierz zarecytował z ogromnym przejęciem i w sposób ujmująco liryczny gwarowy wierszyk warmiński Zientary-Malewskiej, który w jego właśnie wykonaniu stał się wierszem.

Na scenie chuda dziewczyna, nieefektowna, wręcz brzydka. Patrzymy i słuchamy z mimowolną niechęcią, zwłaszcza, że nasz „seans" trwa już wiele godzin. Utwór Gałczyńskiego — jedyny z jego fantasmagorycznej i drapieżnej twórczości przedwojennej — ożywa w jej ustach, zaczyna żyć pełnią ukrytego w nim życia, nie przeczuwanego nawet przy cichym czytaniu... a dziewczyna za sprawą cudu, zwanego prawdziwym przeżyciem wewnętrznym, dosłownie przeistacza się fizycznie, staje się ładna.

PS.

Korzystając z okazji, pragnę sprostować dwie zmyłki, które zniekształciły tekst mojego opowiadania „Szańczyk i kamień", wydrukowanego w nr 6 (638) „Odgłosów": nazwisko wspaniałego poety, zamordowanego przez Niemców podczas okupacji, którego wiersz wspominam w opowiadaniu, brzmi — Tadeusz Hollender; cytowane przeze mnie zdanie z opublikowanego wspomnienia M. Kinzla powinno brzmieć: „Trzeba to (broń i amunicję — uwaga moja, T. Ch.) usunąć mimo obstawionej przez Niemców ulicy".

## spektakle tygodnia

| | spektakli | widzów | proc. |
|---|---|---|---|
| TEATR WIELKI | | | |
| „Zemsta nietoperza" | 2 | 2520 | 100 |
| „Królewna Śnieżka" | 2 | 2520 | 100 |
| „Cyrulik sewilski" | 1 | 1260 | 100 |
| NOWY | | | |
| „Dziś do ciebie przyjść nie mogę" | 3 | 2100 | 100 |
| „Będę mówił szczerą prawdę" | 2 | 1400 | 100 |
| „Księżyc świeci nieszczęśliwym" | 1 | 700 | 100 |
| „Szkoła kobiet" | 1 | 670 | 95 |
| „Życie jest snem" | 1 | 700 | 100 |
| MAŁA SALA | | | |
| „Rodeo" | 1 | 200 | 100 |
| „Pelikan" | 3 | 600 | 100 |
| „Kaprys" i „Drzwi muszą być albo otwarte, albo zamknięte" | 1 | 185 | 92 |
| „Bliski nieznajomy" | 1 | 200 | 100 |
| POWSZECHNY | | | |
| „Boso ale w ostrogach" | 2 | 1320 | 100 |
| „Ojcowie rodzą się w szafach" | 1 | 600 | 90 |
| „Henryk V" | 2 | 1200 | 90 |
| JARACZA | | | |
| „Jegor Bułyczow i inni" | 3 | 1542 | 100 |
| 7.15 | | | |
| „Żołnierz Królowej Madagaskaru" | 3 | 1266 | 100 |
| OPERETKA | | | |
| „Pierwiosnki" | 5 | 5089 | 98 |
| FILHARMONIA | | | |
| koncert popularno-rozrywkowy | 1 | 650 | 95 |

JERZY WILMAŃSKI

# Język giętki czyli mowa — trawa

Jak to właśnie mówił Wielki Juliusz: „Chodzi mi o to aby język giętki powiedział wszystko co pomyśli głowa..."

O mowie-trawie oczywiście Wielki Juliusz nie wspomniał, ale zastanówmy się — „...co pomyśli głowa?" A jeśli głowa nie myśli? Co wówczas z językiem?

Wówczas czytamy na przykład hasełko w rodzaju „zmniejszaj pobór mocy w szczycie wieczornym", co po prostu oznacza, żeby oszczędzać prądu. Albo w artykule znajdujemy apel o „zwiększenie surowca dla produkcji animalnej". Produkcji animalnej? To takie proste — chodzi przecież o paszę dla bydła!

Nie Juliusz a Julian mówił także: „Człowiekowi się zdaje, że zna język, którym mówi i pisze... Ale niech poczyta kilka słowników fachowych a przekona się, że nie ma zielonego pojęcia o całych, wielkich obszarach polszczyzny..."

No bo proszę. Choćby taki wydany przed laty „Słownik żeglarski". Znajdujemy tam tak dźwięczne słowa jak knaga, grumot, zęza lub tak egzotyczne jak dalba hulk albo tak figlarne jak opętnik, co oznacza po prostu otwór w pokładzie...

Ale prawda o nieznanych wielkich obszarach polszczyzny nie dotyczy tylko słowników fachowych. Dotyczy ona języka w całej jego różnorodności, we wszystkich jego odmianach, gwarach i żargonach.

Skoro już wspomnieliśmy o Julianie, zacytujmy wiersze z cyklu „Słopiewnie", gdzie przecież tylko dźwięk, brzmienie, muzyka słów — bez możliwości odpowiedzi na owo szkolne, sakramentalne pytanie „Co poeta chciał powiedzieć?". On chciał po prostu powiedzieć, że polszczyzna jest piękna, przebogata, że kryje w sobie możliwości cudowne...

*W białodrzewiu jaśnie dźni słoneczno,*
*Miodzie złoci białopałem żyśnie*
*Drzewa pełni pszczelą i pasieczną,*
*A przez liście kraśnie pęk słowiśnie.*

Pięknie, muzycznie — i po cóż nam rozumieć?

Inaczej rzecz się przedstawia z polszczyzną, która ma inne zadania, która ma przekazać nie tylko melodię i dźwięk, lecz przede wszystkim konkretną informację. Jeśli tu na pytanie „co autor chciał powiedzieć?" nie znajdziemy odpowiedzi — to już zupełnie źle.

Profesor Witold Doroszewski irytując się wielce przedstawia w swojej książce „Refleksje o języku polskim" przedziwne kwiatki prawniczej retoryki. Muzyki w tych tekstach raczej nie ma — jest za to dużo do śmiechu i jeszcze więcej do zadumy.

„Oderwanie przez ustawodawcę w punkcie wyrazu przebiegu psychicznego stanowienia norm przedmiotu punktu zaczepienia i łączące się z tym skutki w strukturze normy prawnej — oddziaływa na podchodzie i ujmowanie rzeczywistości na turalistycznej u tych, których przedmiotem częstotliwej styczności są przepisy prawne..."

Czy to jest język polski — zapytuje profesor Doroszewski — czy to jest w ogóle język?

Podobny bełkot specjalistycznego żargonu, zrozumiałego tylko dla wtajemniczonych bywał, rzecz prosta, nieraz przedmiotem żartów. Gdyby legendarny Franc Fiszer żył w naszych czasach, odpowiedziałby na te prawnicze rewelacje zapewne zdaniem — wytrychem:

„No, tak, wszystko to owszem, całkiem słuszne. Ale proszę mi odpowiedzieć na zasadnicze pytanie — czy chaotyczne kombinacje efemerycznych pryncypiów są w stanie

JAN BABINSKI

# Olbrzym bez skrzydeł

**ŁÓDŹ TO DZIWNE MIASTO. MA WODĘ W PILICY, DWORZEC MA W KOLUSZKACH, A LOTNISKO MA NA OKĘCIU W WARSZAWIE.**

Międzynarodowe pociągi na ekspresowych liniach w Łodzi się nie zatrzymują. Nie mogą. W Łodzi brak kolejowego węzła, który by miał jakieś znaczenie i liczył się naprawdę. Stąd owe, jakże nas zaskakujące, turystyczne mapy na centralnych dworcach Europy zachodniej. Na tych mapach jest Kutno, są Koluszki, ale Łodzi na nich nie ma. Z map wymazano prawie 800-tysięczne miasto. Takie miasto dla turystycznych speców po prostu nie istnieje.

Łódź ma najważniejsze dworce w Koluszkach i w Kutnie.

Nic się na to już nie poradzi. Minął czas, by jakiekolwiek państwo szło na daleko idącą przebudowę kolejowej sieci. Skórka wyprawki niewarta. Tym bardziej, że komunikacyjna przyszłość należy do innych już środków lokomocji. Auto jest niepotrzebne? Owszem, znaleźli się przed laty ekonomiści, którzy na serio dowodzili, że bez auta człowiek może się obejść. I mieli rację. Bo człowiek może się też obejść bez wielu różnych rzeczy. Można by było przecież wrócić do dyliżansu, a nawet można by było przeprosić owe apostolskie pedes i obejść się zgoła bez dyliżansu. Cóż takiego. Diogenes całe życie przesiedział w beczce i czuł się ponoć niezmiernie szczęśliwy. A niejaki Szymon przesiedział swój żywot na słupie i uleciał stamtąd prostą drogą do nieba.

Kiedyś o randze miasta świadczył kolejowy dworzec. Tak było w dziewiętnastym wieku. W dwudziestym wieku tym wyróżnikiem jest dworzec lotniczy.

Łódź, drugie co do wielkości miasto w kraju, lotniska pasażerskiego nie posiada. Trudno się z tym pogodzić. Tym bardziej trudno, że Łódź miała połączenie lotnicze już za czasów pewnego dziadka, który coś tam wydawał na ulicy Wschodniej. Na Lublinku lądowały też samoloty pasażerskie w pierwszych latach po wojnie. Potem nastał okres rozdętego ponad wszelką miarę centralizmu. Lotnisko Łodzi zabrano. Obejdzie się, orzekł jakiś szczebel, są ważniejsze potrzeby.

Jak w każdej sprawie o jakiejś wadze, także w kwestii lotniska dla Łodzi poglądy się ścierają. Dosadniej się wyrażając, są zwolennicy lotniska i są jego przeciwnicy. Są argumenty za i są kontraargumenty. Mają wszystkie to do siebie, że wzajem nie się unicestwiają. Wreszcie na placu boju zostaje argument koronny. W pewnych kręgach jest nim po dziś dzień rzekoma bliskość Łodzi i Warszawy. Otóż to, Łodzi lotnisko niepotrzebne, bo Okęcie o krok. Słyszałem ten argument wielokrotnie. I nie wiem czemu dziwić się bardziej. Ignorancji tych, którzy nim szermują, czy też ich wyraźnie złej woli i brakowi poczucia odpowiedzialności.

**To nieprawda, że z Łodzi blisko do Warszawy.**

Wywód jest całkowicie chybiony. Z Łodzi do Warszawy jest bardzo daleko. Już bliżej jest z Łodzi do Berlina. Plan odlotów i przylotów samolotów pasażerskich na Okęciu jest ułożony zgodnie z potrzebami mieszkańców stolicy. I trudno mieć o to do kogokolwiek pretensję. Warszawiacy mają prawo dbać o swoją przede wszystkim wygodę. Toteż odlatują w różne strony świata wczesnym rankiem. Po to, żeby złapać samolot do Londynu czy Moskwy, łodzianin musi się udać do Warszawy dzień wcześniej i w stolicy przenocować. Inaczej na samolot nię zdąży. Drogą lotniczą do Berlina jedzie się z Łodzi aż dwa dni. Dłużej niż pociągiem. Te powrotne samoloty lądują na Okęciu o północy lub tuż przed północą. Śpiewka się powtarza. Pociągu do Łodzi już wtedy nie ma. Łodzianin musi przenocować w warszawskim hotelu lub przemęczyć noc na walizkach w poczekalni warszawskiego dworca. Co zyskał w samolocie, stracił wskutek wadliwie skonstruowanego rozkładu jazdy na kolei, bo kolejową dyrekcję też zlikwidowano w Łodzi i przeniesiono do Warszawy.

**Jaka jest prawda o rzekomej bliskości Łodzi i Warszawy.**

Jeśli decyzja o zamknięciu lotniska na Lublinku była błędna, to po cóż na siłę wyszukiwać argumenty dla jej usprawiedliwienia? Zgoda, nie patrzmy na Zachód, bo inne tam dziś warunki, inny też styl życia. Ale popatrzeć na Bułgarię chyba nie zaszkodzi? Czy był kto w Russe albo Tirnowo? To wojewódzkie miasta w Bułgarii dużo zresztą mniejsze od Radomia. W obu czynne są lotniska pasażerskie. Skoro już przy tym jesteśmy i to jeszcze mogę dorzucić, że z Warny do Burgas tylko 100 kilometrów, znacznie bliżej niż z Łodzi do Warszawy. A jednak nikt, ani przez moment nie duma nad tym w Bułgarii, by w Burgas lub Warnie zamknąć lotniska w nagłym trybie. Jeśli się tam nad czymś myśli, to głównie nad tym, by lotnisk otwierać wciąż więcej i więcej.

**Lotnisko jest Łodzi niepotrzebne?**

Proszę, niech mnie zatem kto przekona, że Plowdiw i Stara Zagora większe mają dla Bułgarii znaczenie gospodarcze niż ma Łódź dla Polski. Obie te bułgarskie mieściny, w których do niedawna nie było ani jednej szkoły średniej, mają duże lotniska pasażerskie. Łódź lotniska nie ma, choć roczna wartość łódzkiej produkcji sięga kilkudziesięciu miliardów złotych, choć miasto ma kilka wyższych uczelni, kilka instytutów naukowych i kilka też central handlu zagranicznego, które robią miliardowe obroty z całym bez przesady światem. Jakże wytłumaczyć zagranicznym kontrahentom tak tłumnie odwiedzającym „Cetebe", „Skórimpex", „Confexim"... że do Łodzi samolotem przybyć się nie daje? Importerom nie mieści się to w głowie. Czy to możliwe, prawie milionowe miasto, kolosalny przemysł i nie macie lotniczego dworca?

**Lotnisko jest Łodzi potrzebne.**

Stolica włókniarzy, centrum polskiego przemysłu lekkiego cierpi na fatalne połączenia kolejowe. Podróż na tych dalekich liniach przypomina drogę przez mękę. Przewóz towarów wzrósł przecież po wojnie aż pięciokrotnie, a nowych torów nie przybyło. Podróż nawet rannym, ekspresowym pociągiem do Warszawy trwa dziś dłużej niż 40 lat temu. Odciążyć kolej w ruchu pasażerskim mogą, a zresztą powinny, wewnętrzne linie komunikacji lotniczej. Dzieje się tak na niezmierzonych obszarach Związku Radzieckiego i podobnie ma się rzecz w niewielkiej Bułgarii. Obliczono, że przeciąganie nowych linii kolejowych byłoby przedsięwzięciem wielokrotnie kosztowniejszym niż budowa w coraz to innych miejscowościach lotniczych dworców. Samolot jest dziś tańszy od kolei. Więc to nie względy prestiżowe podpowiadają konieczność rewindykacji lotniska na Lublinku, lecz podsuwa takie rozwiązanie prosty rachunek ekonomiczny. Jeśli już mamy kalkulować to kalkulujmy także w tej dziedzinie, która nie wiadomo dlaczego uchodzi za wstydliwą.

Postęp tym się niegdyś wyrażał, że człowiek zaczął się przesiadać z dyliżansu na pociąg. Teraz tym się wyraża, że mieszkaniec Starej Zagory w Bułgarii przesiadł się na samolot i leci do Sofii turbośmigłowcem. Samolotu się nie uniknie. Tak samo jak nie uniknie się motoryzacji. Pewne procesy mają wymiar ogólnoświatowy. Język techniki jest wszędzie ten sam. Nie jestem oczywiście aż tak naiwny, by oddawać się złudzeniu, że problem lotniska dla Łodzi w obecnej sytuacji ekonomicznej da się załatwić z dnia na dzień. Na to trzeba będzie, niestety, lat.

Czy nie należałoby wszakże całej tej powikłanej sprawy ruszyć z miejsca już dzisiaj, aby wreszcie zaczęła się toczyć? Jeśli nie podejmiemy tych pierwszych kroków z początkiem lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku, to gotów do nas przylgnąć zarzut nieprzezorności i całkowitego braku wyobraźni. Czy nie czas wielki przedsięwziąć rzetelną próbę przywrócenia Łodzi lotniska, które jak tyle innych dobrych rzeczy w swoim czasie Łodzi zabrano i przeniesiono? Dość w Łodzi fabryk, które by mogły pomóc. Dość też zakochanych w mieście łodzian, którzy nie odmówią sił i środków by to dzieło wesprzeć.

Łódź to gospodarczy olbrzym.

Smutno robi się na duszy, ten olbrzym nie ma skrzydeł.

## Półka z książkami

### NASZE OBYCZAJE

Pewien mówca chcąc zobrazować niedostrzegalność przemian, odwołał się do przykładu matki i dorastającej córki, której rozwój łatwiej jest zauważalny dla postronnych niż dla rodzicielki. Podobną prawdę choć w mniej banalnej formie do strzegł znany socjolog i publicysta — Marcin Czerwiński. Nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego ukazała się jego książka — zbiór szkiców — pt. „Przemiany obyczaju". Zaraz na wstępie autor pisze:

„Żyjące w Polsce osoby, które liczą dziś ponad 40 lat, były świadkami jednej z największych, a może po prostu największej rewolucji obyczajowej, jaka zaszła w naszym kraju od czasów zupełnie zamierzchłych."

Zdajemy sobie wszyscy sprawę z obyczajowych przemian, ale dla wielu zachodzą one właśnie niedostrzegalnie i potrzeba dopiero wnikliwego obserwatora, badacza, który dokona niezbędnych porównań, aby prawda ta stała się zrozumiała, oczywista i wymierna. Przy czym dla wielu z nas nie staje materiału porównawczego, bo obyczaje ojców i dziadów znają tylko z lektur i opowieści. Dopiero lektura książki Marcina Czerwińskiego dostarcza materiału do refleksji. Przy czym i samo pojęcie „obyczaje" ma dla wielu różne znaczenie i sens.

Autor „Przemian obyczaju" przed przystąpieniem do szczegółowych rozważań definiuje zakres przedmiotu. Po pierwsze — poddał badaniom „krąg inteligencko - mieszczański", a po drugie — zajął się „sprawami, które miały swój tradycyjny model w rodzinie". Obserwował zmiany zachodzące w stosunkach pomiędzy osobami różnych płci i generacji, ale terenem obserwacji była ciągle rodzina. Tak więc powstały rozważania o zmieniającym się modelu rodziny, gdzie układ patriarchalny zastąpiły więzy przyjaźni i koleżeństwa.

Sytuację, konflikty i prawidłowości współczesnej rodziny pokazuje M. Czerwiński na tle środowiska, gdzie rodzina mieszka („Mieszkanie w bloku"), na tle wielkiego miasta („Pokerowa twarz miasta"). Pokazuje też w układzie przemian zachodzących między poszczególnymi pokoleniami, a także na tle sytuacji kobiety w domu i w świecie.

W sumie ciekawa lektura dla tych wszystkich, których interesuje współczesność.

B. M.

Marcin Czerwiński. „Przemiany obyczaju", PIW, Warszawa 1969, s. 180, cena 15 zł.

### INNY BIAŁOSZEWSKI

Znakomity choć kontrowersyjny poeta Miron Białoszewski zaskoczył czytelników swoją nową książką. Autor wyrafinowanych „Obrotów rzeczy" i „Rachunku zachciankowego" nazwał swoją pierwszą książkę prozą po prostu „Pamiętnikiem z Powstania Warszawskiego". I pisze: „A może się da? Bo mówią, że się nie da. Opowiedzieć. Tego co się przeżyło..."

Janusz Wilhelmi uprzedza w przedmowie, że pamiętnik ów ma w sobie coś drażniącego, że operuje zdaniami sztucznie poszarpanymi, sztucznie kalekimi, że drażni osobliwa infantylizacja tego pamiętnika. To prawda, ale po kilku stronach ten osobliwy styl, nastrój i klimat książki zaczyna nas wciągać. Mało tego — zaczynamy smakować tę prozę. Kto wie — może właśnie dlatego, że o powstaniu wiemy bardzo dużo z bardzo wielu książek, że po latach zdarza się nam czytać coś tak bardzo innego, świeżego?

Białoszewski pisze: „Nawet wiemy ze dwa razy więcej. Bo wiemy jeszcze o tym wszystkim czego nie było, co zostało wymyślone przez tych, którzy przypisują rzeczywistości pewną niedogodność albo niewydolność". Białoszewski pisze o tym, co było. Tylko o tym. Mamy prawo mu wierzyć — w każdym razie potrafił nas o tym przekonać.

(jw)

Miron Białoszewski „Pamiętnik z Powstania Warszawskiego". PIW 1970, cena 17 zł.

---

**zdeterminować neutralną cywitatywę absolutu dobrego i złego — czy nie są w stanie..." Tym zdaniem — jak głosi legenda — Fiszer nokautował najbardziej nawet przemądrzałych interlokutorów.**

**Kpiono zresztą z takiego języka bezlitośnie. Antoni Słonimski zapowiedział kiedyś swój odczyt na temat „Wtórnych przekrojów spirali osmozy społecznej mobilizującej oddolne, podświadome zahamowania doznań adekwatnych". Nikt — łącznie ze Słonimskim — nie wiedział o co rzecz idzie. A ludzie na odczyt przyszli. I wysłuchali przemowy wygłoszonej w podobnym stylu. „Gdy zmęczony i spocony skończyłem te brednie — wspomina poeta — ukłoniłem się grzecznie. Publiczność nagrodziła mnie wątłymi brawami Nikt nie gwizdał, nikt nie zadawał pytań."**

**Podobne zabawy były przed laty bardzo popularne — do legendy przeszło też słowo wymyślone przez Tuwima i puszczone w obieg...**

**„Julian Tuwim rozprawiał kiedyś z przyjacielem w kawiarni na temat używania słów obcego pochodzenia i ich znaczenia. Przyjaciel twierdził, że większość ludzi nie rozumie istotnego sensu słów obcych. Aby dowieść słuszności swojej teorii wymyślił słowo „reponsować" i zawołał kelnera.**

**— Proszę pana, chcielibyśmy zreponsować... — Kelner wyciągnął z kieszeni blok i zaczął liczyć: dwie kawy, dwa koniaki, tort, syfon — razem...**

**Potem wstąpili do baru.**

**— Piccolo! gdzie tu można reponsować?**

**— Toalety w końcu korytarza na lewo, proszę szanownego pana.**

**Z baru udali się do restauracji. Jedzenie było wyborne, trunki wspaniałe.**

**Przyjaciel Tuwima zawołał kelnerkę i zapytał z uśmiechem:**

**— Panienko, czy mógłbym z panią poreponsować?**

**Dziewczyna zarumieniła się z oburzenia i odrzekła:**

**— Co pan sobie myśli? Ja jestem porządna dziewczyna.**

**Potem przyjaciele przysiedli się do znajomego towarzystwa. Nowe słówko było ciągle w użyciu: Gertruda Ederle przepłynęła La Manche tylko dlatego, że miała znakomitego reponsatora; parlament stanowczo musi uchwalić reponsorium. Mussolini odpowie energicznie na ostatnią reponsację Francji.**

**Tuwim wrócił do domu, a jego przyjaciel, zupełnie pijany, został jeszcze w restauracji. Nazajutrz doszło do wiadomości poety, że przyjaciel urządził w lokalu awanturę i policja musiała go „zreponsować".**

**W wielkich miastach, w środowiskach specjalistów napotykamy także pewien specjalny gatunek wielkomiejskiej gwary. Gwarę złodziejską. Profesor Ułaszyn nazywał ją „tajnym językiem", w którym chodzi o to, aby ukryć, zamaskować informację, niesioną przez słowa. Stąd słowa są przedziwne — budowa tego języka polega na poprzedzaniu sylab wyrazów, względnie na dodawaniu po sylabach — z góry umówionych głosek lub zgłosek. Tak więc dodając sufiks „n" wg gwary czyli „Kminy" złodziei wrocławskich — słowo dzi-siaj, brzmieć będzie „diene-sienaj".**

**Jeśli więc złodziej mówi do złodzieja: „dzisiaj pójdę na dworzec i okradnę naiwnego z prawej kieszeni spodni" — to powie to tak:**

**„Diene-sienaj punaj-dene nana bene-rzene wyny-kupiny frana-jeno prana-wyny kienen-szyny nana-chyny". Co uważniejsi czytelnicy zauważyli pewno, że nie padło tu słowo „dwono-rzecene" (dworzec) czy „najwa-negone" (naiwnego), albo „okrany-dnyny" (okradnę). Otóż język złodziejski byłby zbyt prosty, gdyby polegał tylko na dodawaniu głosek po sylabach. Przecież w określonym środowisku przestępczym nie mówi się dworzec ale berza, nie mówi się naiwny ale frajer, nie mówi się — okradnę — ale wykupię... I od tych żargonowych słów tworzone są owe figury językowe. A słów tych jest wiele i znajomość samej tylko zasady budowania języka nie wystarczy — trzeba jeszcze znać żargonowe słowa i zwroty używane w środowisku. Bez tej wiedzy intruz zostanie zdemaskowany już po wypowiedzeniu pierwszych zdań choćby „bałakał kminą" jak sam Szpicbródka.**

**No i zapędziłem się. Zacząłem od Słowackiego — kończę na złodziejach. Ale nic to! Przecież język polski — ów gigantyczny zbiór słów jest takim właśnie przedziwnym oceanem. Żyją w nim słowa wzniosłe, dumne i dostojne, ale żyją też słowa grube i słowa potworki, figlarne i śmieszne, swojskie i egzotyczne. Kończę więc poetycznie — kwiecista i różnobarwna jest nasza mowa — trawa.**

---

Julian Tuwim „Dzieła". Czytelnik 1955.

Witold Doroszewski „Wśród słów, wrażeń i myśli — refleksje o języku polskim". PIW 1966.

„Wesoły kramik". Wyd. Śląsk 1969.

Antoni Słonimski „Wspomnienia warszawskie". Czytelnik 1957.

Zbigniew Bożyczko „Język i pseudonimy złodziejskie" — Problemy Kryminalistyki 1960.

EWA NURCZYŃSKA

# Obraz polskiej kinematografii

**„Kinematografia polska w 25-leciu PRL" — to temat sesji naukowej, która odbyła się w Łodzi w kwietniu 1970 r.** Jubileuszowe hasło sesji nie zdeterminowało jednakże przebiegu obrad, które nie poprzestały na podsumowaniu i ocenie dorobku dwudziestu pięciu lat istnienia kinematografii w Polsce Ludowej. Spojrzenie w przeszłość służyło refleksji obejmującej sprawy dnia dzisiejszego i przyszłości.

Obraz polskiej kinematografii w minionym 25-leciu, a także problemy kultury i myśli filmowej tego okresu przedstawione zostały w następujących referatach: „Film polski w XXV-leciu PRL" — doc. dr A Jackiewicz, „Polskie badania nad filmem" — doc. dr B. Lewicki, „Film polski na tle twórczości światowej" — prof. dr J. Toeplitz, „Rozwój kultury filmowej w PRL" — doc. dr K. Żygulski, „Polski film krótkometrażowy w XXV-leciu PRL" — red. L. Pijanowski i „Przemysł filmowy w Polsce Ludowej" — dyr. W. Stempel.

Już same tematy referatów określają krąg problemów związanych z tym, co składa się na pełny obraz kinematografii polskiej i jej miejsca w życiu społecznym w minionym dwudziestopięcioleciu. Przedstawiono w nich to, co stanowiło siłę i to co słabość polskiej twórczości filmowej i polityki kulturalnej, obejmującej sprawy społecznego funkcjonowania filmu. Tezy referatów stały się punktem wyjścia do rozważań i postulatów, mających określić drogi rozwoju filmu i kultury filmowej w najbliższej przyszłości. Z bogatej dyskusji, w której podejmowano ogrom problemów, wybranie spraw zasadniczych i najważniejszych nie jest sprawą prostą. Decyduje o tym specyfika form społecznego istnienia filmu, zerwanie jednego ogniwa burzy bowiem złożoną ich strukturę.

Film z racji jego różnorodnych funkcji widzieć trzeba jako proces twórczy, ale także i produkcyjny, sprawy repertuaru kinowego i sposoby jego rozpowszechniania stanowią dla publiczności główną wizytówkę działalności kinematografii. Do spraw tych dołączyć trzeba zagadnienia podniesienia poziomu kultury filmowej wśród szerokich rzesz odbiorców, a także widzenie filmu jako niesłychanie ważkiego elementu procesów dydaktycznych i wychowawczych.

Sukcesy, porażki i kłopoty związane z tymi zagadnieniami to sprawy, wokół których koncentrowały się obrady sesji. Idąc tropem ich przebiegu pragnę przedstawić, na zasadzie wyboru, te właśnie sprawy, które traktowano jako najważniejsze problemy do rozwiązań. Myślę, że sprawom tym towarzyszyć będzie pamięć o tym, czego już dokonono, co jest świadectwem sukcesów.

Pełna świadomość najlepszych tradycji polskiej kinematografii towarzyszyć winna naszym realizatorom, decydującym o narodowym charakterze polskiej twórczości filmowej. Jej największe dotychczasowe osiągnięcia były zawsze związane z owym nurtem filmów głęboko zaangażowanych w sprawy naszej przeszłości i współczesności narodowej. Niemal wszystkie próby zapatrzenia we wzorce skomercjalizowanej kinematografii kończyły się ideową i artystyczną porażką. Troska o film współczesny, podejmujący sprawy naszych czasów, nie stroniący również od problemów trudnych, często konfliktowych, szczególna waga należna filmom przeznaczonym dla dzieci i młodzieży oraz podniesienie liczby i poziomu filmów rozrywkowych, z jednoczesną potrzebą odejścia od międzynarodowych stereotypów i troska o ich walory wychowawcze — to główne zadania, przed którymi stawia się dziś polski film fabularny.

Filmy dokumentalne, popularnonaukowe i animowane od wielu lat najgodniej reprezentują polską kinematografię w świecie. Ich realizatorzy stają jednakże w obliczu trudności, które wymagają rozwiązań jak najszybszych. Ogólną bolączką polskiej produkcji filmowej jest zły, często bardzo zły stan bazy i środków technicznych. Ubolewają nad tym fabularzyści, a chyba jeszcze głośniej twórcy krótkiego metrażu. Nie miejsce tu na szersze omówienie tego problemu, niemniej trudno oprzeć się uwadze, iż we współczesnej kinematografii o jakości i walorach filmu decyduje, jak wiadomo, nie tylko jego ideowa i intelektualna zawartość, technika w ogromnym stopniu określa jego pełny kształt artystyczny. By film polski mógł być rentowny, przynieść dewizy, które można by z kolei inwestować w rozwój bazy produkcyjnej, musi się na rynku światowym legitymować również wysoką jakością techniczną. Dla wielu kontrahentów jest to wartość podstawowa.

Problemy polskiego krótkiego metrażu i jego sukcesów w przyszłości łączą się bardzo ściśle z dopływem młodych kadr. Zjawiskiem niepokojącym jest stronienie adeptów sztuki filmowej od działalności w Wytwórni Filmów Oświatowych i wytwórniach filmów animowanych. Uregulowanie tych spraw widzi się zarówno w systemie kształcenia studentów w Szkole Filmowej jak i potrzebie stażu młodych realizatorów w wytwórniach krótkiego metrażu. Mając na uwadze moment startu młodych w najróżniejszych rodzajach twórczości filmowej postuluje się stworzenie Studia Prób Filmowych na wzór węgierskiego Studia im. B. Balazsa.

W ciągu ostatnich lat dokonano bardzo wiele w zakresie popularyzacji i właściwego wykorzystania filmów krótkometrażowych. Nie sposób jednakże nie stwierdzić, iż filmy te nie zawsze jeszcze znajdują pełne wykorzystanie w procesie dydaktyczno-wychowawczym, prowadzonym przecież nie tylko w szkolnictwie, lecz rozumianym jako stałe oddziaływanie na społeczeństwo. Film w pracy szkoleniowej zakładów produkcyjnych, gospodarki rolnej i w organizacjach społecznych nie zajął jeszcze właściwego dla siebie miejsca.

Od wielu lat zaprzestano w Polsce badań socjologicznych, sondujących społeczny odbiór filmów. A jest to zagadnienie wielkiej wagi dla spraw właściwej produkcji, rozpowszechniania filmów i właściwej polityki kulturalnej. Tajemnicą poliszynela jest fakt złudności danych, które przynosza wykazy statystyczne. W interesującej nas sprawie przykładem niech będą dane, donoszące, iż Polak odwiedza średnio pięć razy w roku salę kinową. Bliższe rozeznanie stawia nas wobec faktu, iż widz wiejski bywa w kinie jeden raz w roku. Dotykamy tu spraw szczególnie palących — zaniedbań, dotyczących rozwoju sieci kin na wsiach i na terenie wielkich budowli przemysłowych. Wyrównanie tych zaniedbań, a także sprawa modernizacji kin istniejących, to jedno z podstawowych zadań, stojących przed kinematografią. Możliwości dotarcia filmu do szerokich rzesz społeczeństwa, to rzecz w sposób podstawowy warunkująca rozpowszechnianie filmów, preferowanie tych najcenniejszych i mówienie o kształceniu kultury filmowej. Jej upowszechnianie bowiem to nie tylko domena uniwersytetów i szkół, które winny włączyć film w swój system kształcenia i wychowywania, to nie tylko działalność kin studyjnych, dyskusyjnych klubów filmowych i wydawnictw filmowych, to sprawa właściwej, sensownej polityki rozpowszechniania repertuaru, który uczy, wychowuje i kształtuje gust artystyczny powszechnego odbiorcy.

Zwrócenie uwagi na niezbędną potrzebę zintegrowania działalności kinematografii i telewizji wynika z przeobrażeń, jakie zaszły wraz z powszechnością tej ostatniej. Film w kinie i film w telewizji to dziś sprawy, których rozłączać już nie można. Udział i rola TV w upowszechnieniu filmu i kultury filmowej to również zagadnienie dnia dzisiejszego i przyszłości.

Wobec szerokich możliwości upowszechniania kultury filmowej i korzystania z filmu poprzez najróżniejsze kanały naszego systemu życia społeczno-kulturalnego, powołanie komisji koordynującej sprawy pełnego funkcjonowania filmu wydaje się również potrzebą dnia, gdyż zbyt wiele spraw i inicjatyw rozbija się dziś o brak pełnego programu dotyczącego miejsca filmu w życiu społecznym.

Każda z zasygnalizowanych tu spraw wymagałaby omówień szerszych, sądzę, że powrócimy do nich jeszcze niejednokrotnie. Owa nie jubileuszowo-laurkowa relacja z obrad łódzkiej sesji świadczy z jednej strony o zadaniach, stojących przed polską kinematografią, z drugiej o potrzebie włączenia jej problemów w cały system polityki kulturalnej w naszym kraju.

TP OBIEKTYW

# Ewa Demarczyk

„Demarczyk, ubrana skromnie, nieruchoma, bez zbędnych gestów i ruchów na estradzie, robi wszystko, aby właśnie na samej piosence a nie jej wykonawcy skupić naszą uwagę". Tak napisał po transmisji telewizyjnej recitalu śpiewaczki (to określenie lepiej pasuje w tym wypadku niż piosenkarka) krakowskiej w Braszow w Rumunii — sprawozdawca „Życia Warszawy".

Jestem zgodny z tonacją tej oceny, pełną aprobaty dla Demarczyk, ale z meritum chciałbym popolemizować. Jedno nie ulega kwestii: Demarczyk jest artystką o wysublimowanej wrażliwości i o wyjątkowej wprost umiejętności angażowania się bez reszty w interpretację piosenki. To za angażowanie nie zna żadnych hamulców. Pieśniarka nie kokietuje widowni, nie usiłuje się podobać. Panuje nad mimiką i gestem, ale tylko w tym zakresie, by były one jak najbardziej wyraziste. Nie robi nic, co byłoby zbędnym ornamentem.

Dlatego chwilami potrafi aż porazić brzydotą grymasu twarzy, nie dbając o konwencje estetyczne, ani o wytrzymałość widzów. W chwilę później kompensuje i wynagradza pewien stan zaszokowania widowni emanującym z twarzy pięknem, nie tyle nawet dosłownym, ile jakimś wewnętrznym, wypływającym z głębi przeżycia.

Czy „robi wszystko, aby na samej piosence a nie jej wykonawcy skupić naszą uwagę"? Nie wydaje mi się. By nie być gołosłownym, przypomnę piosenkę Zygmunta Koniecznego do słów A. Schmidta. W refrenie dwa słowa „Taki pejzaż" powtarzają się wielokrotnie. Przecież nie na tej ubogiej treści skupia Demarczyk naszą uwagę. Jednostajny jak w litanii tekst traktuje artystka jak formę, czy naczynie, które napełnia stale nową treścią emocjonalną. Od dość obojętnego tonu przechodzi do mocniejszych akcentów wyrazowych, nasyca, kondensuje, świadomie zwalnia rytm, jakby drążąc tekst coraz głębiej, natrafiając na rosnący opór jednostajnej, nie poddającej się melodii.

Nie piosenka już tu ważna. Ważne jest przeżycie, które piosenka budzi w śpiewaczce. Dlatego tak wdzięczni byliśmy realizatorom telewizyjnym, gdy pozwalali nam dzięki dużym zbliżeniom uczestniczyć w tym czarodziejskim misterium, śledzić każde drgnięcie mięśni twarzy Demarczyk, odczytywać z nich intymne treści, które jakby na margine sie interpretowanej piosenki śpiewaczka nam przekazuje.

W równym stopniu z niezadowoleniem witaliśmy chyba wszyscy gierki, jakie realizatorzy telewizji rumuńskiej stosowali przy pompcy stołu trickowego, by rzekomo upiększyć, urozmaicić recital. Te wszystkie zbędne przenikania, przekazywania obrazu śpiewaczki z dwóch kamer naraz, lub wreszcie ukazywanie maleńkiej sylwetki Demarczyk w planie ogólnym, skracały nam chwile, w których w pełni mogliśmy sycić wzrok wyrazistą grą jej twarzy.

Chciałbym podkreślić jeszcze jeden moment. Czy zwróciliście uwagę na twarz Demarczyk w momencie, gdy kłaniała się po zakończeniu recitalu wśród aplauzu rumuńskiej publiczności? Widać było na niej przede wszystkim zmęczenie. Artystka dała z siebie w trakcie koncertu tak wiele, że znów nie starczyło jej sił, by zabiegać o względy publiczności, czarować ją uśmiechami.

Głębokim, nie wystudiowanym ukłonem Demarczyk zdawała się mówić: Dałam wam tyle, na ile mnie stać. Nie wymagajcie ode mnie więcej! Pozwólcie mi ściszonej zejść z estrady i po wielkich wzruszeniach wrócić do skromnego, codziennego wymiaru.

Zdaje się, że wciąż jeszcze nie potrafimy docenić, jak niezwykłym zjawiskiem artystycznym jest Ewa Demarczyk. Exmplum? Występy gwiazdy Piwnicy „Pod Baranami" wymagają nastroju, specyficznej oprawy. Wstawienie jej dwóch piosenek między Wicherka wyśpiewującego „prywatnym" głosem prognozę pogody i M. Sumińskiego naśladującego tokowanie cietrzewia i głos jelenia na rykowisku (w programie „Muzyka lekka, łatwa i przyjemna" Rzeszewskiego i Kydryńskiego w dniu 2 bm.) było wyrazem nie najlepszego smaku...

Władysław Orkan

# O FILMACH DOBRZE I ŹLE

W pewnym cieniu dwu dużych wytwórni filmowych w naszym mieście, WFF i WFO i w bardzo trudnych warunkach realizacyjnych działa w Łodzi Studio Małych Form Filmowych bardziej znane widzom pod wdzięczną nazwą „Se-Ma-For". Gdy uświadamiamy sobie, iż z tego studia wyszło wiele znakomitych filmów Daniela Szczechury i Stefana Schabenbecka, że studio firmowało telewizyjną serię „Opowiadań profesora Tutki", że dzieciaki nasze z radością witają każdy następny film z serii „Zaczarowany ołówek", trudno nie przyznać racji głosom żalu, iż krytyka filmowa tak bardzo rzadko zajmuje się omówieniem i oceną twórczości realizatorów „Se-Ma-Fora".

Sądzę, że nie obrażę nikogo z grona znakomitych krytyków, jeśli wyrażę opinię, iż owo stronienie od tematu wynika z pewnego braku kompetencji. Film animowany realizowany w najróżniejszych konwencjach plastycznych, legitymujący się nie tyle zwartością intelektualną czy anegdotą, co właśnie kształtem plastycznym wymaga ocen ludzi tej właśnie sztuki. Zainteresowanie zagadnieniami filmu animowanego tych, którzy piszą o sztukach plastycznych przyniosłoby twórcom te rzeczowe opinie i oceny, na które najbardziej czekają.

Studio Małych Form Filmowych nie poprzestaje jednak, jak wiemy, na realizacji lalkowych, rysunkowych i kombinowanych filmów animowanych. Poczesne miejsce w jego repertuarze zajmują również małe formy filmów aktorskich. Mając na uwadze te różnorodne dziedziny zainteresowań realizatorów „Se-Ma-Fora", całość ich twórczości trzeba widzieć w kategoriach zarówno artystycznych, jak wychowawczych i rozrywkowych.

Ogólne spojrzenie na całokształt ostatnich propozycji filmowych „Se-Ma-Fora" każe z żalem odnotować pewne obniżenie poziomu jego filmów. Składa się na to chyba wiele czynników. Metaforyczne animowane opowieści dla dorosłych były przez wiele lat mocnym atutem jego repertuaru. Zawartość treściowa i intelektualna tych filmów nie daje nam już tej satysfakcji co niegdyś. Może rezygnacja z pewnej unifikacji na rzecz silniejszych związków ze współczesnością i kulturą narodową pozwoliłaby na dotarcie do nowych źródeł inspiracji. Potrzeba pewnego kinoplastycznego nowatorstwa to chyba również zadania, przed którymi stoi polski film animowany, piszę — polski, gdyż uwagi te nie odnoszą się wyłącznie do propozycji Studia Małych Form. Filmy animowane powstają jeszcze w warszawskim Studio Miniatur Filmowych i Wytwórni Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej.

W planach repertuarowych „Se-Ma-Fora" znaczne miejsce zajmowała zawsze i zajmuje nadal produkcja animowanych i aktorskich filmów dla dzieci. Ten najwdzięczniejszy odbiorca jest jednocześnie widzem najtrudniejszym, stawiającym przed realizatorami zadania niezwykle trudne. Trzeba przyznać, że „Se-Ma-For" traktuje swego młodego widza bardzo poważnie, o czym świadczą takie jego serie filmowe, jak: „Przygody Misia Colargola", „Zaczarowany ołówek", „Przygody Sindbada Żeglarza", „Dzieci z naszej szkoły" czy filmy Jadwigi Kędzierzawskiej.

Najnowsze, przyjęte na tegoroczny X Festiwal Filmów Krótkometrażowych w Krakowie propozycje „Se-Ma-Fora" są dla jego działalności bardzo reprezentatywne.

Daniel Szczechura i Stefan Schabenbeck pozostają nadal wierni owemu wyżej wspomnianemu nurtowi metaforycznych, pełnych smutku i zadumy nad ludzkim losem i działaniem opowieści. Szczechura prezentuje film „Podróż" — powiastkę o człowieczej samotności, podpisując ją z pełnym sukcesem jako autor scenariusza, projektu plastycznego i reżyser.

Niezawodny Stefan Schabenbeck zrealizował tym razem wycinankowy film „Wiatr", dając następny wyraz swym stale nowym poszukiwaniom artystycznym. Każdy niemal film tego młodego przecież twórcy to swego rodzaju wydarzenie w świecie filmu animowanego. W tym autorskim zestawie „Wiatr" nie jest chyba jednak pozycją najświetniejszą.

Film lalkowy to stały rejon artystycznej działalności Edwarda Sturlisa. Jego najnowszy film „Pieczęć" nie grzeszy jednak ani odkrywczością tematu, ani zbytnim nowatorstwem formy, a pamiętać trzeba, że groteska wymaga też umiarkowania i smaku.

„Kwiat ocknienia" jest ostatnią pozycją „Przygód Sindbada Żeglarza", ostatnią i bez wątpienia najbardziej udaną. Debiutującemu tym filmem Stanisławowi Lenartowiczowi udało się to, co nie wyszło w filmach realizowanych wcześniej przez bardziej wytrawnych reżyserów. Kształt plastyczny filmu Lenartowicza współgra i wzbogaca ton pięknej leśmianowskiej opowieści o Sindbadzie.

Jadwiga Kędzierzawska, znakomity obserwator świata dziecięcego, w filmie „O dwunastej", powraca do swego ulubionego tematu. Dzięki jej filmowi w chłodnym wiosennym dniu można poczuć cudowne ciepło letniego południa w przepięknym Kazimierzu. Miasteczko, słońce, upał i wdzięczny, dziecięcy bohater urzekają w tym bardzo pięknym filmie. (E. N.)

# Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

### „MAŁY KSIĄŻĘ" WE FRANCUSKIEJ TV

Pewnego dnia Saint-Exupéry rozmawiając w restauracji ze swym amerykańskim wydawcą narysował na białej serwetce postać chłopca. Wydawca spostrzegł rysunek i spytał ze zdziwieniem co to jest. „To mały człowiek, którego noszę w sercu" — odpowiedział pisarz.

Wydawca zaproponował żeby Saint-Exupéry napisał historię tego chłopczyka i książeczkę zilustrował. W ten to sposób narodził się „Mały książę" poematbaśń. W roku 1943 na rok przed śmiercią pisarza, który zginął bohaterską śmiercią lotnika w walce z Niemcami, ukazał się w Ameryce utwór Saint-Exupéry'ego „Mały książę".

Obecnie telewizja francuska przygotowuje wystawienie tej baśni choć reali zatorzy zdają sobie sprawę z tego, że jest to zadanie wprawdzie bardzo wdzięczne, ale niezmiernie trudne. Walor „Małego księcia" nie polega bowiem na akcji. Jest to poemat na cześć dziecięcej prostoty i niewinności uczuć.

Pisał kiedyś Saint-Exupéry: „Skąd pochodzę? Pochodzę z mojego dzieciństwa jak się pochodzi z jakiegoś kraju".

### GROBOWIEC POETY

Był władcą Czarnogóry, biskupem prawosławnym i wielkim poetą romantycznym.

Njegos Petar Petrowić (od roku 1830 zwany Piotrem II władcą Czarnogóry) urodził się w roku 1813, zmarł młodo na gruźlicę w roku 1851. Był właściwie samoukiem, który zdobył wielką wiedzę i kulturę. Znał literaturę rosyjską, włoską, francuską. Rozmiłowany w serbskiej twórczości ludowej był początkowo jej kontynuatorem pisząc wiersze i poematy. Potem w jego poezji pojawia się zaduma filozoficzna. W poemacie o walce na Kosowym Polu w roku 1389, kiedy to Serbowie zostali pokonani przez Turków, dał wyraz mesjanistycznym ideałom. Jest autorem filozoficznego poematu „Promień mikrokosmosu". Najwybitniejszym jednak dziełem Njegosa jest narodowy epos pt. „Górski wieniec". Tłumaczył też na język serbski m. in. staroruski poemat pt. „Słowo o wyprawie Igora".

Ulubionym miejscem poety, gdzie jak twierdził nawiedza go natchnienie, były ruiny starej kaplicy na jednym ze wzgórz niedaleko dawnej stolicy Czarnogóry, Cetinje. Tam też postanowił spoczywać po swej śmierci. Sam narysował projekt kaplicy w stylu bizantyjskim gdzie miał być jego grobowiec. Toteż po jego śmierci wzniesiono tę budowlę. W roku 1916 Austriacy zburzyli doszczętnie grobowiec poety. Po uzyskaniu niepodległości Jugosławii ówczesny król Aleksander zamierzał wznieść na szczycie wzgórza wspaniały pomnik architektoniczny, lecz zdecydowano się na rekonstrukcję dawnej budowli. Obecnie powstał projekt aby pamięć wielkiego poety romantycznego uhonorować wielką, monumentalną budowlą i doprowadzić na szczyt wzgórza wygodną drogę dla turystów. Lecz odezwały się głosy sprzeciwu. Wielu spośród tych co czczą pamięć wielkiego poety sądzi, że grobowiec powinien zostać w tej formie w jakiej wymarzył go sobie Njegos, choć budowla ta nie odznacza się większymi walorami architektonicznymi.

*Zespół „Braci Jacques"*

### „BRACIA JACQUES" I CATHERINE SAUVAGE

Nazywają siebie braćmi Jacques. Jest ich czterech, ale żaden z nich nie jest Jakubem. Nie są też wszyscy czterej braćmi. Tylko dwaj z nich to bracia. Pierwszy występ „Braci Jacques" odbył się zaraz po wojnie. Od tego czasu śpiewają, tańczą, odgrywają sceny mimiczne — bawią publiczność paryską przez ćwierć już wieku. Nie ulegali nigdy modzie, nie gonili za nadzwyczajnymi sukcesami. Ale publiczność paryska zna ich i lubi. Ostatnio występują w teatrzyku „Bobino" wraz z Catherine Sauvage, piosenkarką o równie ugruntowanej już sławie.

### WIELKA WYSTAWA MATISSE'A

W paryskim Grand Palais otwarta została retrospektywna wystawa Henri Matisse'a, artysty, który obok Picassa wywarł najpoważniejszy wpływ na sztukę współczesną. Wystawa została zorganizowana w stulecie urodzin wielkiego malarza. Henri Emile Benoit Matisse urodził się w ostatnim dniu 1869 roku (zmarł w wieku lat 82 w maju 1952 roku).

Obecna wystawa zgromadziła ponad dwieście płócien oraz rzeźby i gwasze. Około stu obrazów przywieziono z Nowego Jorku, Baltimore, San Francisco, i Filadelfii. Około dwudziestu płócien pożyczył na wystawę Związek Radziecki z leningradzkiego Ermitażu i muzeum w Moskwie. Ponadto rodzina artysty wypożyczyła kolekcję obrazów Matisse'a będącą w prywatnym jej posiadaniu.

Równocześnie w Bibliotece Narodowej została otwarta wystawa grafiki Matisse'a. Znalazły się tu m. in. ilustracje książkowe do „Poezji" Mallarmégo, album „Jazz" poświęcony rozmaitym tematom (sceny cyrkowe, mitologiczne, taniec) itd.

Henri Matisse pochodził z Pikardii. Był synem kupca zbożem. Początkowo przyszły artysta nie zdradzał specjalnych zamiłowań plastycznych. Wykształcił się na prawnika i przyjął posadę w sądzie. Dopiero mając lat 21, niemal przypadkiem odkrył w sobie zamiłowanie do malarstwa i od tej pory zajmować się będzie już przez całe życie wyłącznie pracą twórczą i to od świtu do nocy.

*H. Matisse: Naga śpiąca — 1946*

Dziś Matisse nazywany jest ojcem fowizmu. W 1906 roku na Salonie Jesiennym, sala w której wisiały obrazy Matisse'a i jego przyjaciół została nazwana złośliwie „Le cage aux Fauves", klatką z dzikimi bestiami. Nazwa fowiści przyjęła się, ale wkrótce przestaje mieć znaczenie pejoratywne.

*Henri Matisse: Autoportret — 1937*

Oryginalność i wielkość Matisse'a polega na śmiałym poszukiwaniu nowych form dzięki którym chciał wyrazić swój emocjonalny stosunek do malowanego przedmiotu. Po latach żmudnych poszukiwań zrozumiał, że upraszczanie do maksimum ilości barw i konturów rysunków daje największą ekspresję. „Malarz wypowiada się środkami najprostszymi" — powiedział kiedyś. Rezygnując przy takim założeniu z perspektywicznej głębi obrazu, najchętniej traktował swe malarstwo jako sztukę dekoratywną, często marząc o dekoracji murów ściennych. Uważał, że sztuka winna mieć walory nie tylko wyłącznie estetyczne, ale i użytkowe. Jego założenia, zbliżające się bardzo do wielu późniejszych założeń malarstwa nowoczesnego sprawiły, że zwłaszcza we Francji nieprędko był doceniony. Dlatego niektóre jego najlepsze obrazy zostały zakupione przez kolekcjonerów zagranicznych. Kilkadziesiąt obrazów Matisse'a zakupili

*H. Matisse: Studium w ołówku — Białe pióra 1919*

m. in. dwaj rosyjscy kolekcjonerzy sztuki, Szczukin i Morozow, którzy jako jedni z pierwszych poznali się na geniuszu artysty.

W latach 1948—1951 powstaje jego ostatnie wielkie dzieło — dekoracja kaplicy w Vence. Matisse jeszcze raz wykazał tu swój geniusz architektoniczny, malarski i rzeźbiarski.

**W następnym numerze „Odgłosów":**

★ **BOHDAN DROZDOWSKI — Albion od środka**

★ **Rozmowa z rektorem UŁ prof. ZDZISŁAWEM SKWARCZYŃSKIM**

★ **MAREK WAWRZKIEWICZ — Nieudane małżeństwo**

**oraz**

**felietony, recenzje, nowela kryminalna.**

# POLONICA

### „WIELKIE DATY LITERATURY POLSKIEJ"

Nakładem poważnego wydawnictwa „Presses Universitaires de France", w serii „que sais-je" ukazała się książka Gonthiera Weila i Jean Chassarda „Les grandes dates des litteratures etrangeres" („Wielkie daty literatur zagranicznych"). Autorzy wyjaśniają w przedmowie, że za wielkie wydarzenia literackie uważają w pierwszym rzędzie utwory, które mają znaczenie światowe i które ponadto wytrzymały próbę czasu. Wyjątkowo wchodzą tu jednak w grę także i utwory o znaczeniu mniej uniwersalnym, ale reprezentacyjnym dla jakiegoś kraju czy okresu. A także te, które w pewnym momencie cieszyły się wyjątkowym powodzeniem, choć potomność tego sądu nie potwierdziła.

Jest rzeczą ciekawą, jakie to utwory polskie zaliczyli pp. Weil i Chassard do owych trzech kategorii. Otóż znalazł się tu „Żywot człowieka poczciwego" Reja, „Treny" Kochanowskiego, „Kazania sejmowe" Skargi, „Pamiętniki" Paska, „O skutecznym rad sposobie" Konarskiego, „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki" Krasickiego, „Śpiewy historyczne" Niemcewicza, główne dzieła Mickiewicza i Słowackiego, „Nieboska" Krasińskiego, „Zemsta" Fredry' „Budnik" Kraszewskiego, powieści Sienkiewicza i Żeromskiego, „Warszawianka", „Klątwa" i „Sędziowie" Wyspiańskiego, „Chłopi" Reymonta, jedna z powieści Zapolskiej, „Noce i dni" oraz „Gwiazda zaranna" Dąbrowskiej, „Sława i chwała" Iwaszkiewicza, powieści Andrzejewskiego i Newerlego, „Astronauci" Lema, pamiętniki Lucjana Rudnickiego, poezję Broniewskiego, Gałczyńskiego i Tuwima.

Zadziwia pominięcie Norwida (od lat przeszło czterdziestu tłumaczonego także na francuski!), komedii Zapolskiej (lepszych od powieści), Rittnera, a z nowszych pisarzy: Szaniawskiego, Nałkowskiej, S. I. Witkiewicza, Staffa, Berenta, Kadena, Leśmiana, Peipera, Kruczkowskiego, Brzękowskiego, Przybosia, Parandowskiego, Schultza, Gombrowicza, Różewicza. Na całości znać ducha raczej „filologicznego" niż komparatystycznego i krytycznego. Szkoda, że w tej sprawie nie odwołano się do zdania prawdziwie kompetentnych znawców, np. prof. Jean Bourrilly czy Jean Fabre. Szkoda też, że nie zabrał głosu Ośrodek Cywilizacji Polskiej na Sorbonie, czy paryska Stacja PAN.

POLONICA

## OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

# Pan Konstanty

NAPRAWA ŚWIATA — PIĘĆDZIESIĄT LAT TEMU — GWIAZDA NA POLICZKU — „CZŁOWIEK? — WYSZEDŁ" — GODNOŚĆ ARTYSTY — PŁOMIEŃ NA ŚWIECZNIKU

Wchodzi do Klubu Dziennikarza energicznym krokiem — z reguły około południa. Pan Konstanty ma swoją pracownię niemal „przez ścianę" — w rozsypującej się i przeciekającej budzie na zapleczu Domu Prasy. Parę dni temu z oburzeniem opowiadał mi o dostrzeżonym na ulicy plakacie, którego twórca złamał wszelkie zasady malarskiej kompozycji i zwykłej ludzkiej przyzwoitości. Wówczas od baru odwróciła się pani pijąca kawkę i rzekła: „Panie profesorze, czy pan wciąż chce świat naprawiać?"

Pomyślałem sobie wówczas, że przecież świat zmieniają na lepsze właśnie tacy irytujący się pasjonaci — nie paniusie znad pół czarnej. I pomyślałem sobie wówczas, że to przecież pół wieku minęło odkąd Konstanty Maciejewicz rozpoczął swoje artystyczne zmienianie świata. W roku 1919 ukończył studia malarskie w Odessie, a w roku dwudziestym był już profesorem w Szkole Artystycznej w Jekaterynburgu i scenografem tamtejszej opery. A potem odnajdujemy go znów w Moskwie w pracowni Kandinsky'ego — pięć lat później jest już w Łodzi...

Pan Konstanty jest wybitnym malarzem, ale jest także uosobieniem renesansowego artysty, interesującym się muzyką, teatrem, literaturą, filozofią. Jak rzadko kto ma prawo powiedzieć owo sakramentalne „nic co ludzkie..." Bo przecież w jego artystycznej biografii jest i kubizm i futuryzm — „demonstrowałem to, nosiłem na policzku czarną gwiazdę z ekscentrycznymi dodatkami" — powie po latach. O panu Konstantym krążą anegdoty, on sam krążąc z filiżanką kawy po Klubie Dziennikarza strzela anegdotami najprzedniejszej próby. Kiedyś przed laty, gdy w malarstwie panował sztywny schematyzm, pan Konstanty posłał na wystawę obraz. Piękne wnętrze jesiennego lasu, po mistrzowsku rozłożone tony i półcienie — ten obraz odróżniał się zdecydowanie od sztampowych „Podaj cegłę" czy „Elektryfikacja wsi". Na uwagę komisji, że obraz pokazuje las — skądinąd piękny — ale nie pokazuje ludzkiej pracy, pan Konstanty wziął pędzel i dwoma ruchami u dołu pejzażu domalował dwie maleńkie sylwetki ludzkie. I powiedział: „Teraz obraz się nazywa: „Wyrąb lasu w PGR".

Na inną wystawę, której tematem był Człowiek, przekorny pan Konstanty wysłał obraz — wnętrze pokoju, stół, otwarte okno i wiosenny ogród za oknem. „Gdzie tu człowiek?" — zapytała komisja. „Taż wyszedł na chwilę" — odparł artysta.

Bowiem pan Konstanty jest przekorny przekorą nonkonformisty. Malował tradycyjne pejzaże, kiedy w końcu lat pięćdziesiątych większość malarzy pogrążyła się w abstrakcji — nawet ci od socrealistycznych malowanek. Miał do tego artystyczne prawo, bowiem abstrakcję uprawiał już w latach dwudziestych, kiedy większość malarzy tworzyła akademickie pejzaże. Taki jest pan Konstanty — znakomity malarz, urodzony gawędziarz, wciąż irytujący się niedoskonałością tego najpiękniejszego ze światów.

Przeciwko tej niedoskonałości walczy swoją sztuką i swoim dowcipem. Godność artysty jest dla niego sprawą najistotniejszą, sprawność warsztatu jest dla niego równie ważna jak nurt filozoficzny, któremu wyraz daje w swoich pracach. Kiedyś zwrócono się do niego o ofiarowanie obrazu na jakiś cel. Artysta jest też człowiekiem pracy i nie stać go na podaruki z efektów swego wysiłku. Więc pan Konstanty zapytał: — Jakże to tak? „Mistrzu — odparł nagabujący — pieniędzy na obraz nie mamy, ale to przecież wszystko jedno, idziemy wszak do komunizmu..." „Do komunizmu? — zdziwił się pan Konstanty — z moim obrazem, ale bez pieniędzy?". Bowiem pan Konstanty strasznie nie lubi, jeśli dla małych spraw nadużywa się wielkich słów.

Niedawno rozmawialiśmy z panem Konstantym o poezji, o sztuce. I padły wówczas piękne, głęboko mądre słowa: „Bo widzi pan, panie kolego — powiedział mi — jeśli artysta jest na świeczniku to rzadko bywa, że myśli o płomieniu i jego blasku. Raczej myśli wtedy o świeczniku na którym stoi — o świecznik dba w swojej sztuce a nie o świecę. Woli utracić blask płomienia w sobie niż świecznik pod nogami".

Pan Konstanty jest jednym z najwybitniejszych malarzy współczesności, ale płomień jego artystycznych pasji płonie wysoko. Ten płomień jest dla artysty najważniejszy — w nim jest zawarty sens wieloletniego „naprawiania świata", sens całego życia i pracy.

JERZY WIDOK

WALTER MONAGHAN

# Kasia Rzeź

## (Dokończenie)

Nie mogłem zostawić Leona Schella, odłożyłem słuchawkę. Teraz potrzebna mi była torba ze sztuczną biżuterią. Pojechałem na dworzec centralny i zabrałem ją z kasety. Stąd po dziesięciu minutach znalazłem się na Sutton Place. Wnętrze domu było luksusowe. Na jednej ze skrzynek pocztowych zobaczyłem złocone litery: Le Coeur, nr 21, II piętro. Stanąwszy przed drzwiami wsunąłem rękę pod marynarkę i uruchomiłem rejestrator.

Zadzwoniłem trzy razy. Otworzył mi prawie natychmiast, nie miał w ręku broni. Zamrugał powiekami, widząc mnie na progu samego, lecz uspokoił się, gdy spostrzegł torbę.

— Czy pan się nazywa Leon Schell? — spytałem.

— Tak. — Twarz jego była nieruchoma, lecz oczy przenikliwe, jak u zaczajonego lwa.

— Jestem Bill Young. Przysłali mnie tu Monk Saunders i Larry Coster, aby to panu doręczyć.

— Proszę wejść dalej.

Wszedłem, zamknął drzwi. Położyłem torbę i rozejrzałem się wokoło. Wytworny apartament urządzony w guście kobiecym. Tapczan z poduszkami, egzotyczne wazony, cicho grające radio. Kobiety nie widziałem, Może była w innym pokoju?

— Myślałem że przyjdziecie wszyscy trzej.

Zrobiłem głupią minę. — Przywieźli mnie samochodem i odjechali. Będą tu niedługo.

— Dziwne — mruknął Schell. Był wyższy ode mnie, mógł mieć około czterdziestu lat.

— Ja już chyba skończyłem swoją pracę — rzekłem, — Za pewniam pana, że dobrze zasłużyłem na moje wynagrodzenie. Przez całe popołudnie policja mnie tropiła, musiałem zacierać za sobą ślady.

Skierowałem się do wyjścia, chwyciłem za klamkę. Pragnąłem jak najprędzej odejść, lecz on chciał, żebym został.

— Dlaczego pan nie czeka na Monka i Larry'ego? Przygotuję coś do picia.

— Dziękuję, z przyjemnością napiję się.

Otworzył drzwiczki baru. — Co pan woli? — zapytał.

— Jeśli można — szkocką.

Był odwrócony, mogłem go teraz uderzyć, ale nie chciałem ryzykować. Te wszystkie kryształy w barze były jednocześnie lustrami, mógł mnie obserwować. Odwrócił się i podał mi kieliszek scotch.

— Czy Monk panu powiedział co jest w torbie?

Kieliszek trzymał w lewej ręce, prawą włożył do kieszeni.

— Tak, wiem. Biżuteria.

— Myśleliśmy, że pan uciekł z łupem w czasie tego zamieszania. Wielu by tak postąpiło na pana miejscu.

— Być może, lecz zbyt trudno się takiego towaru pozbyć, gdy się nie ma znajomości... No i nie chcę oberwać od was kulki.

— A jak się panu podoba ta zabawka? — Wyjął z prawej kieszeni mały rewolwer. — Wspaniała broń, wprost arcydzieło. Jestem dobrym strzelcem, często ćwiczę.

— Jest pan dobrym strzelcem... powtórzyłem głupio, usiłując odgadnąć do czego zmierza.

— Czy pan jest uzbrojony? — zapytał.

A więc tak! Nie chciałem, aby mnie dotykał, mógłby znaleźć rejestrator.

— Owszem, byłem zdenerwowany i pożyczyłem od przyjaciela pistolet. — Odsunąłem połę marynarki i pokazałem kaburę.

— Czy mogę go zobaczyć?

— Naturalnie. — Wyjąłem pistolet, uważając, aby trzymać go otworem na dół i podałem Schellowi.

Uśmiechnął się ironicznie. — Typowo amerykański, zbyt duży, jak wasze auta, domy i wszystko. — Położył broń na stoliku, swój rewolwer wsunął do kieszeni. Usiedliśmy w fotelach.

— Proszę mi teraz opowiedzieć dokładnie, jak to wszystko dziś poszło.

Powtórzyłem historyjkę, którą już recytowałem w obecności Monka. Opuściłem fragment z przechowalnią bagażu, natomiast powiedziałem, że byłem w kinie, a potem spotkałem się z Monkiem w hotelu. Znając psychikę złodziei postanowiłem zasiać w Schellu nieufność do jego kompanów. Opowiadałem powoli, podkreślając pewne momenty: powiedział, żebym poczekał na niego w moim pokoju, potem wziął torbę i wrócił po czterdziestu minutach...

— Jak to, wyszedł z torbą i potem wrócił?

— Tak. Stwierdził, że zamki nie są zbyt pewne. Potem mieliśmy się spotkać z Larrym...

— Milczeć! — ryknął Schell. — Monk nie powinien był otwierać torby! Jeżeli ci dwaj przygotowali mi kawał...

Wstał zapominając o rewolwerze. Położył torbę na stoliku, wyjął z kieszeni kluczyk i otworzył oba zamki. Przez długie minuty stał nieruchomo z twarzą koloru popiołu. Wziął garść kamieni i zaniósł je bliżej światła. Zaczął wyć, rzucał kamienie o ścianę, przeklinał Monka i Larry'ego, w jego głosie drgała śmiertelna nienawiść.

— Cała moja praca, tylko moja... Dwa lata organizowałem to uderzenie, a teraz te świnie...

Siedziałem w fotelu i cieszyłem się, że mówił, mówił bez żadnej ostrożności. Wyobrażałem sobie mój występ na sali sądowej z tranzystorowym rejestratorem... Schell opowiedział mi, jak zorganizował rabunek. Teraz mogłem przekazać go inspektorowi. Potrzebny mi był telefon. Muszę odejść...

Gdy na chwilę przestał mówić, wstałem i zrobiłem dwa kroki w stronę przedpokoju. — Jestem już chyba niepotrzebny, pójdę sobie.

Byłem przy drzwiach, gdy krzyknął: — Jeszcze minuta! Może będzie pan potrzebny, coś przecież muszę zrobić!

Chodził po pokoju, załamywał ręce. Nie mogłem wymknąć się, byłoby niebezpiecznie. Zapaliłem papierosa i obserwowałem Schella. Moje myśli galopowały. Jak stąd wyjść? W ciągu pięciu minut po moim telefonie cały dom mógł być otoczony rojem policjantów.

Schell przystanął, usiadł w fotelu, nie odzywał się. Muzyka płynąca z radia wydawała się mocniejsza. Nagle umilkła, nastąpiła chwila ciszy, a potem spiker zapowiedział aktualności dnia. Słowa spikera godziły jak strzały. Serce przestawało mi bić.

„...policja zidentyfikowała zabitego Monka Saundersa. Był zamieszany w sprawę kradzieży biżuterii..."

Ręka Schella chwyciła rewolwer, który trzymał w kieszeni. Wycelował go w moją stronę.

„...reporterzy twierdzą, że w pokoju hotelowym mieszkał urzędnik towarzystwa ubezpieczeniowego, Bill Young..."

Spiker mówił dalej, lecz ja już nie słyszałem. Schell pochylony do przodu nie tracił ani słowa. Wreszcie spiker umilkł, Schell wyłączył radio.

— A więc to ty jesteś urzędnikiem z towarzystwa ubezpieczeniowego? Ty zabiłeś Monka!!!

Wybuchnął śmiechem szaleńca. — Komiczne! — zawołał — Zwykły ubezpieczeniowiec o mały włos nie złapał w pułapkę Leona Schella. Śmiałeś się ze mnie, co? Ale to ostatni śmiech w twoim życiu... Tylko najpierw mi wyjaśnisz, dlaczego tu przyszedłeś z torbą.

Chciałem zyskać na czasie, postanowiłem zagrać ostatnią kartę. — Słusznie, słusznie — wyjąkałem. — Ale gdybym był na pana miejscu zrezygnowałbym z zabijania kogokolwiek, a szczególnie mnie. Policja wie wszystko o panu. Przyszedłem tu, żeby sprowokować pana do mówienia. Mówił pan — i nawet za dużo. Mam przy sobie tranzystorowy aparat nadawczy, każde nasze słowo jest nagrane w rejestratorze, który mają na dole moi koledzy. Posiadają też słuchawki, wiedzą, ci się tu dzieje i na pewno już zatelefonowali po posiłki. Chcesz mnie zabić, proszę!

Wiedziałem, że dobrze trafiłem. Żaden przestępca nie chce pogorszyć swej sytuacji morderstwem.

— Gdzie trzymasz aparat? — zapytał. — Chcę zobaczyć, zdejmij ubranie.

Rozbierałem się powoli. Mikrofon był już widoczny, przymocowany do mojej nogi.

— Okay. Teraz odwróć się i unieś ręce nad głową! — rozkazał Schell.

Zbliżył się do mnie, zerwał mikrofon i rzucił na podłogę. Wyjął z kieszeni rejestrator.

Odwróciłem się. Błysnęła mi pewna myśl. Mój papieros tlił się jeszcze w popielniczce. — Czy mogę zapalić? — zapytałem.

— Wyciągnąłem rękę, aby wziąć papierosa. Popielniczka była ciężka, z brązu. Jedyna możliwość wyjścia z tej sytuacji. To był dzień popielniczek!

Leon Schell położył rewolwer i zaczął odrywać plaster z rejestratora. Schwyciłem popielniczkę i cisnąłem ją w twarz Schella. Zawył z bólu. Rzuciłem się na niego, upadliśmy na podłogę. Uderzyłem go głową w brzuch, wykręciłem mu rękę. Tarzaliśmy się po ziemi, nie szczędząc wzajemnie ciosów. Nie poddawał się. Wstałem, także i on wstał. Zaczął zbliżać się do rewolweru. Udawałem, że tego nie spostrzegam. Gdy wyciągnął rękę, rzuciłem się na niego całym ciężarem moich stu kilogramów. Upadł na podłogę, zemdlał.

Odetchnąłem z ulgą, chociaż wszystko we mnie jeszcze drżało. Bałem się, że zemdleję. Rejestrator z bezcenną taśmą leżał na dywanie. Podniosłem go i przycisnąłem do serca.

— Musi mieć niezwykłą wartość dla pana — usłyszałem głos kobiecy.

Odwróciłem się szybko. Drzwi sąsiedniego pokoju były otwarte, na progu stała piękna blondynka z automatycznym pistoletem wymierzonym w moim kierunku. Tysiąc myśli zawirowało mi w głowie. Nie, nie mogłem przegrać tej partii, teraz, po wszystkich przejściach tego dnia!

— Co słychać, panno Le Coeur? — zapytałem. — Przepraszam za ten bałagan w pokoju. Czy mogę się ubrać?

— Proszę, a jakże — odpowiedziała. — Lecz radzę nie próbować żadnych sztuczek, ze mną mogą się nie udać.

Ubrałem się i schowałem kapsułkę z rejestratorem.

— Co pan tu robi? — zapytała blondynka.

— Współpracuję z policją. Twój przyjaciel Leon Schell jest słynnym złodziejem klejnotów. Towarzystwo ubezpieczeniowe szuka go już od dawna, nałożyło na jego głowę wielką nagrodę — dwadzieścia tysięcy dolarów. Za te pieniądze mogłabyś przez długi czas cieszyć się życiem w tym luksusowym apartamencie.

— Pan mi się podoba, co mam robić?

— Proszę mi oddać ten pistolet. Następnie chcę, żebyś świadczyła przeciw Schellowi. Za kilka minut przyjdzie tu policja. Jeżeli będziesz ze mną współpracowała, towarzystwo ubezpieczeniowe wypłaci całą nagrodę tobie. Decyduj się szybko, zanim Schell odzyska przytomność.

Na moje szczęście Francuzka była kobietą rozsądną.

— Dobrze, pracuję dla ciebie — zgodziła się, wręczając mi pistolet. — Myślałam, że jesteś złodziejem i dlatego...

— Gdzie jest telefon? — przerwałem.

Sandra otworzyła drzwiczki mebla obok tapczanu i wyjęła aparat.

Trzymając pistolet skierowany w stronę Schella, usiadłem na tapczanie i wykręciłem numer centrali policyjnej.

Nagle usłyszałem hałas i rozkazujący głos: — Rzuć ten pistolet, Young! Szybko!

Odwróciłem głowę i zobaczyłem w przedpokoju trzech policjantów z rewolwerami. Rzuciłem broń na podłogę. Sandra przeraziła się.

— Nie bój się, skarbie — rzekłem. — To są panowie z policji, o których ci mówiłem.

— Odłóż słuchawkę — rzekł jeden z nich. — Nie będziesz telefonował teraz długo, długo jeszcze.

Położyłem słuchawkę, w której telefonista z centrali wołał bez przerwy: — Hallo! Hallo!...

Jeden z detektywów podszedł do drzwi wejściowych i otworzył je. Zobaczyłem nową niespodziankę: wraz z grupą policjantów wpadł inspektor O'Leary. Twarz miał czerwoną, w oczach błyski wściekłości. Zobaczył Schella na podłodze, rozrzuconą sztuczną biżuterię, mnie bez marynarki i krawata, Sandrę siedzącą obok mnie na tapczanie. Zaczerwieniłem się.

— Jesteśmy w czułym towarzystwie, co? — zapytał inspektor. — Może byś był tak uprzejmy i opowiedział, co się tu dzieje?

— Dorze, inspektorze.

— Poczekaj chwilę. Meller, weź blok i pisz. Pamiętaj, każde słowo!

— Słucham — odpowiedział uprzejmie Meller.

Opowiedziałem wszystko aż do ostatniej minuty. Twarz inspektora rozjaśniała się w miarę słuchania. Gdy skończyłem zapytał: — Gdzie jest rejestrator?

Podałem mu. — Tu jest wszystko, panie inspektorze. Wszystko od chwili, gdy Monk Saunders przyszedł do hotelu, aż do momentu, gdy Leon Schell zmusił mnie, abym się rozebrał.

Inspektor schował kapsułkę do kieszeni. — Zrobiłeś dobrą robotę, Young.

— Inspektorze, przyrzekłem dostarczyć panu trzech kasiarzy i dotrzymałem obietnicy.

O'Leary kazał założyć kajdanki Schellowi, który już się ocknął z omdlenia. — Zawieźcie go do szpitala, a kobietę zabierzemy do centrali, będzie świadkiem.

— Skąd pan znał adres Schella? — zapytałem, gdy czekaliśmy na korytarzu na windę.

— Powiedział mi Larry Coster. Byłem pewny, że poszedłeś do niego. Wściekałem się, chcieliśmy cię aresztować. A tymczasem ciężko dla nas pracowałeś, naprawdę.

— Więc pan mnie już nie aresztuje?

— O, muszę cię aresztować, wiesz dobrze! Lecz najpierw zafunduję ci piwo. A nawet dwa i trzy!

Oprac. A. S.

# Uwaga, Czytelnicy!

Zgodnie z naszą wcześniejszą zapowiedzią informujemy naszych Czytelników, że dla osób które nadeślą prawidłowe rozwiązania krzyżówki 1-majowej z nr 18 „Odgłosów", redakcja przygotowała następujące nagrody:

I — ZEGAREK DAMSKI Z BRANSOLETĄ

II — MŁYNEK DO KAWY

III — TECZKĘ SKÓRZANĄ

Rozwiązania krzyżówki należy nadsyłać na adres redakcji do dnia 1 czerwca br.

(Jur.)

# Lewym okiem

OD CZEGO ZACZĄĆ?

*W króciutkim felietonie „Życia Warszawy" z 26 kwietnia niejaki Żak cytuje przykłady z historii:*

*Rewolucja francuska zgilotynowała wybitnego chemika, Lavoisiera, bo tłum krzyknął że Republika nie potrzebuje chemików.*

*Za chichotanie w tłusty czwartek spalono niewiastę z całą rodziną i domem, jako bluźnierczynię.*

*Za posiadanie medalionu z podobizną Hugona Capeta połamano kołem ślepego paralityka.*

*„Zdrowego jak byk" hiszpańskiego snycerza spalono na stosie, bo przeżył epidemię cholery, czyli musiał mieć konszachty z diabłem.*

*Przykłady te potrzebne były Żakowi po to, aby skończyć felieton radosną pointą: „można z ulgą oddychać na myśl, że wolno chichotać w tłusty czwartek, być chemikiem bezkarnie i również bezkarnie nosić medalion z wizerunkiem Capeta, bądź wyzdrowieć po zakaźnej chorobie."*

*Gdyby felieton Żaka ukazał się w „Szpilkach" lub w „Karuzeli", nie miałbym wątpliwości, że chodzi o żart, o dowcip. Rzeczywiście — już na całym świecie wolno nosić wizerunek Capeta. A nuż jednak „Życie Warszawy" chciało nas pocieszyć na serio? A przecież — czy można oddychać z ulgą? Czy nie zostało wszystko po dawnemu, czy nie zmieniły się tylko przesądy?*

*Macie rację, to bardzo pesymistyczne stwierdzenie, ale to nie moja wina, fakty są twarde. Przeczytajcie w „Forum" przedruk artykułu z chińskiej prasy, w którym jakiś były dyrektor wielkiego przedsiębiorstwa wali się w piersi aż dudni, wyznając swój największy błąd: przekonanie, że przemysłem powinni kierować fachowcy. Fachowcy nie zatkali dziurawego zbiornika, a masy robotnicze, ożywione myślą Mao — zatkały! Niech by się ktoś w Pekinie przy czytaniu tego artykułu uśmiechnął!*

*Dwieście lat temu niezdrowo było być chemikiem. Ilu wtedy było chemików w Paryżu? Stu? A trzydzieści lat temu nie wolno było być bezkarnie Żydem, ani Polakiem, ani Cyganem. Czy przez sto siedemdziesiąt lat cokolwiek się na świecie poprawiło, czy raczej odwrotnie? Czy w tej chwili można oddychać z ulgą, będąc Wietnamczykiem, albo Arabem w Jerozolimie, albo Murzynem w Południowej Afryce?*

*Nie narkotyzujmy się fantastycznymi osiągnięciami techniki. To bardzo piękne, że do Paryża można lecieć w komfortowych, rozpieszczających warunkach trzy godziny, zamiast obijać sobie gnaty przez cały tydzień w roztrzęsionych kolaskach. To mniej piękne, że do Paryża jeździ kilkakrotnie mniej osób niż przed półtora wiekiem, że wtedy granice były czystą formalnością, a dziś są przeszkodą dla większości nie do przebycia.*

*W sprawach społecznych, ludzkich, w najważniejszej sprawie — organizacji świata, wszystko jest jeszcze do zrobienia, nic nie mamy w dorobku. Potrzebni są utopiści, marzyciele, fantaści — podobni do takich, co jak Verne i Lem rozpędzają wyobraźnię ludzką i dają jej pierwszy doping, zarażają bakcylem niecierpliwego poszukiwania — ale przy tym tacy, co by chcieli poprawić człowieka, nie jego narzędzia. Wszystko jest do zrobienia, a od czegóż zacząć, jeśli nie od marzenia?*

*Gdzie ono jest? Gdzie nowy arkadyjski mit o raju na ziemi?*

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwartalnie 19,50 zł, półrocznie — 39 zł, rocznie — 78 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa, Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 993. H-4.